



w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 50. na prowincji, w Cesarstwie i za granicą półrocznie w Kopertach rs. 4 kop. 75. Numer pojedynczy kop. 15.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych i w Redakcji w Warszawie przy Ulicy Żabięj Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

Treść Numeru: Z życia realisty, Obrazek przez Elizę Orzeszkową. — Karolina Brontë (currel bell). Ję życie i pisma. (Dalszy ciąg). — W pałacu i w chatce powieść Berthold'a Auerbach'a, przełożona z niemieckiego przez J. Belejowską (dalszy ciąg). — Nowości zagraniczne — O ubiorach.

Od Redakcji.

W kwartale czwartym roku bieżącego, Tygodnik Mód pod temi samemi co dotąd wychodzić będzie warunkami, — według ceny prenumeracyjnej mieszcząc się w każdym numerze pod rysunkiem tytułowym. Po ukończeniu drukującej się powieści, rozpoczniemy nową p.t. **Krzyżowe drogi**, ułożoną przez czterech autorów: panią Girardin, Teofilą Gautier, Juliusza Sandeau i Méry. Wszyscy nowi prenumeratorowie za zgłoszeniem się do Redakcji, otrzymają odbitki z początkiem powieści p.t. **W pałacu i w chatce**. Prenumerować można we wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, jak również w Redakcji przy ulicy Żabięj N. 956.

REDAKTOR I WYDAWCA

J. K. Gregorowicz.

ODEZWA PLEBANA Z SULISŁAWIC.

Przed laty siedmiu, uzyskawszy Najwyższe upoważnienie, zakochałem do serc pobożnych o ofiary na wybudowanie tak upragnionego i koniecznego kościoła w Sulisławicach, jako w miejscu słynącym licznymi cudami i łaskami Boga Rodzicy — i zaraz z różnych stron kraju zaczęto składki nadsyłać; lecz nieprzewidziane okoliczności przeszkodziły dalszemu rozwojowi. I miałem z załamaniem rękami, gorzką łzą i stanąć na ruinach przedsięwziętego zamiaru? Nie! Obecnie gdy znowu Najmilszemu dozwolonom zostało prowadzić zaczęte dzieło, podnoszę głos błagalny do serc waszych, czciciele Marji! do serc mówię, bo one tylko, nie ręce, potrafią wystawić ten przybytek, który będzie chlubą kraju i szczytnym pomnikiem w potomności.

Ugruntowany przeciwnościami, pokrzepiony gorącą modlitwą, z ufnością rzucam się do nóg waszych! dajcie chętnie grosz, dwa — to nie zuboży, to was zbogaci.

Następujące osoby, opatrzone oparagrafowaniem książeczkami i puszkami, upoważnione zostały do kwesty: JW. i WW. ks. kan. Sotkiewicz redaktor Przeglądu Katolickiego, Unger wydawca Tygodnika Ilustrowanego, Gregorowicz redaktor Tygodnika Mód, Lesznowska właścicielka Gazety Warszawskiej, K. Kucz redaktor Kurjera Codziennego. ks. kan. Leski proboszcz u św. Aleksandra, Nowodworski urzędnik, Golian urz., Lewandowski dyrektor orkiestry, Warołowski urz. w Radomiu: Jałowiecki radca, Przyłuski urz., Horodyski urz. w Kielcach: Szpadkowski urz., Godlewski urz. Możdżeński księgarz w Kaliszu: Wojciechowski urz., Boguski urzędnik w Płocku: Sulikowski urz., Tyszką urz. w Sandomierzu: Strużyński urzędnik w Łodzi: hr. Łubieński w Staszowie: Boguski urz., Frybner obywatel w Opatowie: Gano urz. w Włostowie: Karska Książęta; hr. Łempicka Planta, hr. Ledóchowska Górki, hr. Popielowa Zajezerze, hr. Orseti Ujazd, Bar. Rajska Koprzywnica, Dutreppi Staboszowice, Kotkowska Kamień, Ropelewska Zdanów, Zagrodzki Zawichost, Mizerski Cmielow, Hasman Stopnica, Dymnicki Busko, Jasińska Boxyce, hr. Popielowa Kurozwęki, Lasocki Brochów, Jasiński Jabłonna, Biesiekierski Wincentowo, Walchnowska Niziny, Bogdańska Strzelce, Oraczewska Morawica, Malinowska Niekiszałka, Horomańska Białobrzegi Opo., Osławska Oblasy, hr. Dębińska Góry, Hylińska Kotlice, Zarębska Podłęże, Koziorowska Stojnow, hr. Lubieniecka Balice, hr. Tarłowa Ostrowce, Grek Maszkow, Dąbrowski Miechów, Flejszerowska Kobylany, Mrozowski Gieraszowice, Stojnowska Abramów, Jaworski Stejne, Skrzynecka Dąbrowa, Czaplicka Skrzypaczewice, hr. Dobrzańska Łonów, Zarzycka Błonie, Dębicki Wiązownica, Braźiewiczowa Dzięki, hr. Ostrowska Maluszyn, Rupniewska Ruszcza.

Oprócz powyższych osób, z rozporządzenia JW. Ober-Policmajstra, składki zbierane być mogą w Redakcji Gazety Warszawskiej, gdyż na ten cel znajduje się puszka do składania ofiar.

Jeżeliby oprócz tych osób, raczył kto łaskawie podjąć się rzeczonych kwesty, o co najpokorniej upraszam, to niech zgłosi się listownie, celem wyjednania upoważnienia; pocztę odbieram w Klimontowie, powiat Sandomierski.

Uprasza się także najpokorniej i gorąco szanownych Rządów kościołów, o powiadomienie i zachęca-

nie parafian do uczestnictwa w tem pobożnem dziele. O Boże! Boże! pobłogosław!

Non nobis Domine, non nobis, sed nomini Tuo da gloriam.

Ks. Józef Czapla,
pleban Sulisławski.

Z ŻYCIA REALISTY

OBRAZEK

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Śród jednej z najszerzych równin Kijowskich leżały obszerne dobra pana Mieczysława L. zwane Hory. Staroświecki dom jego, rodzaj zamczku o dwóch basztach, otoczony był gęstą zielenią ogrodów, parku i zwierzyńców, o wiorstę zaledwie odeń, rysowały się na widnokręgu, wysokie i ciemne mury fabryki sukiennej. Budowane w regularny i wielki czworokąt, z czerwonej i nieotyłkowanej cegły, zdawały mieć postać fortecy, albo jakiegoś olbrzymiego więzienia. Z jednej tylko strony kilkanaście drzew owocowych, nieco rozweselało posępny widok tej budowy, i cały krajobraz z jej okien widzialny, urozmaicony był tylko wysuwającymi się po nad zielenie, basztami zamczka i wieżą szeroko rozłożoną, za bardzo niewielkiem wzgórzem, któremu krajowcy, zwyczajem ogólnym u mieszkańców równin, nadali szumną nazwę góry. Takie samo maluczkie wzgórze istniało z drugiej strony zamczka, i dla tych to dwóch niepozornych pagórków, cała miejscowość nazwaną została Hory. Zresztą jak okiem sięgnąć, równina jednostajna, szeroka — na krańcu widokregu, ziemia zda się bezpośrednio stykać z niebem, bo ani najwyższego pasa lasów nie dojrzeć, ani nawet najniższych wzgórz łańcucha.

Kto po raz pierwszy staje śród tych okiem niezmierzonych, gładkich przestrzeni, czuje się otoczony nieskończonością, jak na morzu w chwili jego najgłębszej ciszy; a gdy wiatr powieje, nowy przybysz niby na pustyni pragnie zapytać go o wieści ze świata, ze świata ruchu, tłumów i życia. Ale wiatr ukraiński, nie o takim świecie nie wie: leci on od mogił gęstą porośniętą darnią, od kurhanów piaszczystych, albo od futorów co się w głębi zielonych jarów ukryły, i w których ludzie cicho snują pierwotną prostotę pełne istnienie.

Jadąc szeroką drogą pocztową ku Horom, z ciekawością przypatrywałem się cechom, tej odrębnej krainy. W przejeździe przez wieś, szczególniejszą uwagę słuch i uwagę, aby dojrzeć i dosłyszeć ducha mieszkańców. I nie wiele potrzebowałem czasu na to, aby poznać jego wyjątkowość.

Niema może kraju w Europie, w którym by lud prosty nieoświecony w tak wysokim stopniu posiadał instynkt poetyczny, jak na Ukrainie. Do wzmoczenia się instynktu tego, pomaga zapewne szczęśliwa mlekiem i miodem płynąca obfitość prowincji.

Wyraz: nieurodzaj — w całym swoim pełnym strasznych obrazów głodu i nędzy znaczeniu, jest tam nieznany prawie. To co tam tak się nazywa, gdzie indziej byłoby obfitością. Prawdziwie święta żyzność swoją glebą, ogromne stada bydła i koni pasące się po stepach, futury w których hodują się nieprzeliczone roje pszczoł miododajnych, czynią życie ukraińskiego wieśniaka łatwym, wolnym od ciężkich trosk, jakim podlega lud, w innych mniej bogato obdarowanych przez naturę stronach. To też ma on dość czasu i swobodnej myśli do pobratania się z naturą tą, nie tylko pługiem ale i sercem, do obejrzenia się okiem i zmysłem niezaćmionem po otaczających go obszarach, i budowania na nich wyobrażeń złotych obrazów poezji. Szerokie przestrzenie wywierają na myśl jego wpływ rozszerzający pojęcia a ciepłe słońce południa rozgrzewa mu pierś, wlewając w nią uczucia i namiętności znane gdzieindziej tylko ludziom w umysłowym świetle skąpanym.

Wszystko czem się zwykły otaczać, nosi na sobie cechę upragnienia i umiłowania piękności. Chatę buduje on sobie widną, obszerną, nie z drzewa, bo lasów tylko Ukraina smętną Litwie zazdrości, ale z chrustu, z tomu; niemniej jednak, jest ona ciepła i ładna, bo bieli ją starannie zewnątrz i wewnątrz.

To mieszkanie swoje, otacza on owocowym ogrodem, a gospodyni, hoża, czarnobrewa młodyca, zasadza w koło kilka grządek krasnych kwiatów, które w lecie służą jej mają, za pyszny strój na odpusty, i jarmarki. Wychodzi też ona co sobotę przed dom, starannie obmywa szyby okien, i zrećnie poprawia uszkodzenia w zewnętrznym tynku, aby przez cały następny tydzień, chata wyglądała bieluchna i czysta, i aby sąsiad idący koło niej drogą, mógł zaśpiewać z zazdrością:

„U sąsiada chata biała,
U sąsiada żonka miła i t. d.“

Spiewy ukraińskie te prześliczne perły poezji, słowami i tonem dosadnie opiewają uczucie czysto ziemskie, gorące aż do namiętności ukraińskiego ludu. Mściwa dziewczyna, która w pieśni warzy truciznę dla niewiernego kochanka a spytana przez matkę: co robi? odpowiada:

„Oj matko, matko, żal nie zna rozwagi!“

przestanie być tylko fikcją dla każdego kto wsłucha się w ostrą intonację, z jaką młody ukraińiec którego rozłączono z jego lubą, śpiewa posępną strofę:

„Dwa gołębie wody piły,
A dwa ją maciły,
Bodaj ci poumierali,
Co nas rozłączyli!“

Innym razem przy schyłku dnia świątecznego, zaśłyszeć można kulawą piosnkę wracającego z karczmy parobka:

„A cóż komu do tego,
Że ja kumci polubiłem —
Że ja kumci mojej miłej
Trzewiczki kupiłem!“

albo inną jeszcze:

„A kto lubi harbuz, harbuz
A ja lubię dynię,
A kto lubi gospodarza,
A ja gospodynię!“

Gdy oglądałem pole przyszłej pracy mojej, z radością wewnętrzną ujrzałem, że będzie ona ogromna.

Fabryka którą zarządowi memu powierzono, była w stanie zupełnego zaniedbania, nieledwie wyniszczenia. Mury choć mocne jeszcze i nie stare, psuły się przez brak dbałości i poprawy, — maszyny w części popusute, w części zaś takie były, że je innemu świeższemu wynalazku zastąpić trzeba było; zapasy wełny zadziwiły mnie swym niedostatkiem, a mimo że pora zbierania malw, służących do farbowania sukna, mijała prawie, szeroka przestrzeń barwiła się niezdytłem jeszcze kwieciami. Około maszyn ruch był niezmiernie mały, niewielka liczba robotników obracała się leniwie i powoli; zdawało się że wszystko tu funkcjonowało bez potrzeby i celu, bez umiejętności ludzkiej i dokładności narzędzi.

Po ruinach tego przemysłowego zakładu, który na ogromną skalę i w wybornych warunkach miejscowych zbudowany, świetnym był niedawno i mógł być takim jeszcze, oprowadzał mnie nazajutrz po moim przybyciu, pod-dyrektor, człowiek niemłody i niesympatyczny, jeden z tych ludzi, na których szerokiej i wązkoczołej twarzy, spiczastej czaszce i beczkowatej postaci wypisano że zaszedłszy do pewnego nie wysokiego punktu kariery, stanął nieudolnością swą zatrzymania i ani na krok już nie posunął się dalej. W zawodzie medycznym ludzie tacy zostają na wieki felerami, w biórowym pomocnikami naczelników, w przemysłowym pod-dyrektorami fabryk. Są to ofiary umysłowej stagnacji, tego postrachu ludzi silnych.

Chodząc po obszernym czworokątnym podwórzu, spytałem mego cycerona o powód smutnego stanu w jakim znalazłem fabrykę. Z właściwą ludziami tego gatunku flegmą, przybierał się on do dania mi odpowiedzi, gdy spojrzął ku otwierającej się bramie, wskazał ją ręką i rzekł:

— Oto przybywa właściciel, od niego dowiedz się pan najlepiej o wszystkim.

W istocie, ujrzałem wjeżdżającego na dziedziniec na dzielnym koniu dzielnego jeźdźcy. Był to pan Mieczysław L., który zsiadłszy z konia, powitał mnie uprzejmie, i rzekł zaraz u wstępu:

— Musisz pan ze zdziwieniem widzieć stan, w jakim znajduje się fabryka, którą w swoją opiekę wziąć raczyłeś. Ale nie moja w tem wina. Lubo szanuję wszelkie zawody przynoszące korzyść ogółowi, sam nie jestem przemysłowcem i zostać takim, najmniejszej nie czuję chęci. Hory zaledwie od trzech lat odziedziczyłem po ojcu, a z niemi i fabrykę będącą wówczas w bardzo świetnym stanie. Od tego czasu wszystko tu upadło przez brak czynnego i sprężystego nadzoru, tak że już był postanowił zamknąć w tym roku zakład, mury sprzedać żydom, maszyny kowalom na żelazo, a wełnę babom na siermięgi rozdarować. Ale przyjechał z zagranicy brat mój a pański kolega, i przeszkodził mi w spełnieniu tego zamiaru. Nabral on tam w kupieckim kraju kupieckiego rozumu i chce się puszczać w spekulację, a żeśmy się jeszcze spadkiem po ojcu nie podzielił, fabryka ta należy tak do niego, jak do mnie. Zobowiązał więc mnie Edward, abym zaprosił tu pana, dał panu zupełną władzę rozporządzania się, w celu doprowadzenia zakładu do kwitującego stanu, kosztów nie szczędził, i zaliczał je na część należną mu ze wspólnego mienia. On sam wyjechał na rok jeszcze za granicę, pokładając zupełne zaufanie w pańskiej umiejętności i dobrych chęciach. Wszakże, dodał pan L. podając mi szeroką i opaloną dłoń, o rozpoczęciu dzieła naprawy, czas będzie pomyśleć jutro, a dziś jedź pan do mnie. Będziemy da Bóg długo sąsiadowali ze sobą trzeba więc abyśmy się poznali i poprzyjaźnili.

Przyjąłem zaproszenie, podano mi wierzchowca, który stał już dla mnie przygotowany w stajni, i za chwilę znalazłem się w zamku pana L.

Przez drogę, z ciekawością przypatrywałem się milionowemu panu, który tak jakoś wyglądał, jakby o milionach swoich całkiem niepamiętał.

Wyglądał na lat 36, był wysoki, barczysty, muskularny, potężnie rozwinięty w całej sile męskiej. Twarz miał ciemną, ogorzałą, tylko czoło nieco bielsze, a pod niem zagłębione nieco i gęstemi ocienione brwiami, błyszczały ogniste ciemne oczy. Gęste, kręcone się czarne włosy, i również czarne zawiesziste wąsy, uzupełniały męską, energiczną piękność. Cała postać jego napiętnowana była dobroduszną wesołością, uprzejmością, rubaszną nieco. Śmiał się bardzo głośno i często, w mowie mieszał niekiedy wyrażenia ludowe, i ogólnie wyrażał się zwięźle, energicznie i z prostotą. Gdyśmy byli na pół drogi, między fabryką a zamecz-

kiem, rzekł do mnie ze swym serdecznym, dobrodusznym śmiechem:

— Dziwisz się pan pewnie różnicy, jaką znajduiesz między bratem moim i mną. Ale bo widzisz, Edward urodził się dwanaście lat później odemnie i wychował w innych trochę czasach. Był on ulubieńcem ojca naszego, który sam wysoko szanując książkowy rozum, młodszego syna według swoich pojęć kierował. Bo co starszy, to od dzieciństwa djabelnie do książek się nie nadał. Od najmłodszych lat, lubiłem tylko gospodarstwo, konie i myślistwo. Żonka, dzieci, szerokie pola, po których mogę hasać na moim turczyńie ile dusza zażąda, sfera chartów, a w zimowe wieczory teorban na którym gram, kiedy moja Sońka piosenki swoje śpiewa, ot i cały mój świat. Niewiem co się za morzami dzieje, i filozofów nie czytam. Każdy widzisz pan, żyje jak chce i umie.

Gdyśmy już weszli do obszernych komnat zamku, pan Mieczysław wyprzedził mnie i zawołał głośno:

— Sońko! serce! prowadzę tobie gościa!

A kiedy ukazała się pani L., rzekł ze zwykłą sobie prostotą.

— Oto nasz nowy sąsiad, p. Zygmunt Z., a zwracając się do mnie dodał: a to moja żonka, gospodyni dzielna, konno jeździ i ze mną na wyścigi goni z chartami zające po polach.

Pani Zofja zaśmiała się z tej rekomendacji serdecznie, podała mi rękę, i po kwadransie pobytu pod ich dachem, byłem z obojgiem państwem L. jakby od lat kilku znajomy.

Uderzyło mnie zadziwiające podobieństwo wzajemne, tych dwojga szczególnych ludzi. Pani L. była hoża, wysoka, czarnobrewa, zadziwiająco pięknie i silnie rozwinięta fizycznie. W ruchach, sposobie mówienia i w obejściu się, niezmiernie podobna była do męża, tak że patrząc na nich trudno było wstrzymać się od myśli, że oboje byli stworzeni dla siebie.

Pan L. pokazał mi całe wnętrze swego zamku. Było to starożytne mieszkanie o wielkich komnatach, dębowych posadzkach, wąskich a wysokich oknach z szybami oprawnymi w ołow. Na każdym kroku znać tam było bogatą zamożność co nie od wczoraj datuje, ale żadnego błyskotliwego zbytku, żadnej nowoczesnej miętkości. Wysokie ściany jednej z sal, całe pokryte były licznymi szeregami wizerunków przodków pana Mieczysława, — druga pełna była cennych i starożytnych ryzunków, — w pokoju pani Zofji od sufitu do posadzki, wisiły wspaniałe makaty, między którymi nad kunsztownie wyrabianym klęcznikiem, błyszczał przedziwny roboty wielki szczerozłoty krzyż. Sprzęty zwyczajne były proste nieledwie, ale nie jeden z nich jakby od niechcienia przykryty był kobiercem, za którego cenę można by zakupić wszystkie błyszczące, połacane cacka kilkunastu przynajmniej modnych, miejskich salonów.

Służba zamkowa odpowiadała zupełnie całości obrazu, jaki przedstawiało mieszkanie i jego właściciele. W przedpokoju siedział stary siwy sługa, który nie ruszył się z miejsca gdy pan jego przez przedpokój przechodził, — w potrzebie pan Mieczysław klaskał w dłonie, i w mgnieniu oka zjawiało się dwóch młodych smukłych chłopców w kozackim ubraniu, którzy śmiało patrzyli w oczy swemu panu, mówili mu: Panoczku! i zrećnie pełnili posługę.

Wyjrawszy przez okno, zobaczyłem na dziedzińcu zamkowym gromadę bawiących się wiejskich dzieci. Pani Zofja zbliżyła się do mnie, i wskazując mi dwóch kilkuletnich chłopców, rzekła:

— Oto nasi synowie!

A pan Mieczysław wskazał dwie dziewczynki, które właśnie najzwawiej uganiały się z włóściańskimi dziećmi po trawniku, i dodał:

— A to nasze dziewczęta!

— Gdy podrosną, rzekł po chwili, trzeba je będzie na uczonych kierować. Niema co! kiedy już ten raz świat taki! nieprawdaż Sońko?

Pani L. kiwnęła głową w znak potwierdzenia.

Późno wieczorem wracałem do fabryki, zamysłony o tem wszystkim com widział; — zdawało mi się że sen jakiś przedstawiał mi obraz ze średnich wieków, — a jednak obraz ten lubo nie w zgodzie był z duchem czasu, miał pewien odrębny, poetyczny

urok — jak zresztą wszystko com dotąd widział na Ukrainie.

Mimo zaczynającej się jesieni, powietrze ciepłe było jeszcze i wonne niedawno zebranem z pól zbożem; oddychałem niemi pełną piersią, patrzyłem niekiedy na głęboko szafirowe sklepienie, i oglądałem się aby spojrzeć na zamek kształtnie rysujący się ze swemi basztami, wśród półciennego tła gwiazdzistej nocy. W dali — w dali — może w owej wiosce za pagórkami leżącą, konała niedoświadczona jakaś piosenka.

— Gdyby nie fabryka, maszyny i praca nad niemi — myślałem, chyba bym wśród tego wszystkiego został poetą!

Myśl ta wydała się mnie samemu tak zabawną, że mi się głośno rozśmiało; — odgłos śmiechu tego pobiegł po równinie tak dziwnym echem że mi się aż obejrzało. Zdało mi się przez chwilę, że nie ja sam z siebie ale ktoś ze mnie się zaśmiał.

Gdybym był przesądny, sądził bym teraz — teraz gdy myślę o tem co się później działo ze mną, że to duch przyszłości mojej zajaśniał w głębi zarozumiałej mej myśli, i zaśmiał się — śmiechem, który miał znaczyć: człowieku! ślepa igraszko natury, życia, własnych namiętności jeszcze śpiących, albo ty sam wiesz czem będziesz?

Zaraz od następnego dnia, pilnie zająłem się podniesieniem fabryki i doprowadzeniem jej do stanu, w jakim tylko podobnego rodzaju zakład korzystnie dla właściciela i prowincji funkcjonować może.

Wszystko było tam budowane na wielką skalę, umiejętnie, przez biegłego znać w zawodzie swym przemysłowca. Trzeba było tylko poprawić zepsute, podnieść upadłe, odnowić zbyt dawne, trzeba było dać nowy, energiczny impuls maszynom i ludziom, a wszystko mogło być tam wkrótce wielkie, świetne i korzystne.

Wziąłem się z całych sił do pracy, i literalnie zostałem nią pochłonięty. Jesień sucha, pogodna sprzyjała robotom, to też rozwijały się ona potężnie i nieustannie. Mnóstwo koni i wozów przywożących materiały potrzebne do naprawy murów, tłumy murarzy z kielniami i rzemieślników wszelkiego rodzaju, od świtu do zachodu słońca oblegały fabrykę, napędzając ją gwarem głosów ludzkich, stukaniem młotów i grzmołem zrzuconych kamieni lub cegieł. Od strony Odessy lub Kijowa, ciągnęły liczne furgony wiozące nowo sprowadzone maszyny, które mnóstwo ludzi zdejmowało z wozów, nosiło, składało i ustawiało w salach dotąd niedołączonymi narzędziami zastawionych. To znowu z różnych stron przybywały transporty wełny, albo ze wsi sąsiednich schodziły się gromady ludzi, zapraszając się na robotników.

W tym gwarze, chaosie, natłoku różnych robót, targów, rachunków, sam na każdym miejscu czynny, i uważny brać musiałem udział, sam musiałem i chciałem być wszędzie, wszystko widzieć, wszystkiego dojrzeć, z każdym się ugodzić, każdego nauczyć. To też dni szybko schodziły, pochłaniane tym odmetem pracy, i gdy późno w noc skończywszy zapisywanie ogromnych każdodziennych wydatków, do snu zamykałem oczy, dopóki nie usnął, snuły się przed niemi kółka i sprężyny narzędzi, cyfry rachunków, a w uszach brzmiał gwar ludzi, stuk młotów i huk próbowanych maszyn.

Pod czujnym nadzorem i energiczną moją ręką, wszystko jakby wyrastało z ziemi, przywodziła świeżą postać. Całą mocą mego umysłu wnikałem w szerokie plany pierwotnego założyciela fabryki, i otwierałem je dodając tylko zapas świeżej wiedzy i nowych wynalazków. Z góry obliczałem korzyści jakie po roku najdalej zakład przyniesie swym właścicielom, a potem puszczając myśl w szerszy zakres, cieszyłem się nadzieją niezliczonych dobrodziejstw, jakie z wzorowo urządzonej i energicznie funkcjonującej fabryki, na całą prowincję spływać będą musiały. Radowała mnie myśl, że przez to co czynię, — przemysł — ta pulsacja nowoczesnych narodów, dająca miarę o żywotności ich organizmu, miał być tu podniesiony o jeden stopień więcej; kapitały martwo leżące, wprawione w ruch, nowy impuls nadany pracy ludzkiej, tej alfy i omedze nowożytnych społeczeństw. W nadzieje te i w pracę wiodącą ku ich spełnieniu, władałem całego siebie, — energią moją, której pełną pierś miałem, popychała z szybkością całe dzieło, tak że w trzy miesiące niespełna po przybyciu mojem do Hor, z najwyższem zadowoleniem, wręczałem panu L. rachunki z summ użytych na odtworzenie fabryki, i oświadczyłem mu, że od

Nowego Roku funkcjonować ona zacznie stale i z całą pełnią rozwoju.

Jakoż przebieg dwóch ostatnich zimowych miesięcy przekonał mnie, że wszystko com zrobił dobrze było zrobione, dzieło szło z tą jednostajnością siły, znamionującą dobrą wewnętrzną organizacją, i nigdzie nie dopatrzyłem słabszej strony, któraby rzuciła wątpliwość na otrzymanie potężnych rezultatów, obliczonych przezemnie z matematyczną ścisłością.

Przy końcu zimy zaczynałem być mniej zatrudniony. Pracowałem ciągle, ale gorączkowy pośpiech stał się już niepotrzebnym; nawet dla dobra nadzorowanego przezemnie dzieła, musiałem hamować w sobie zbytne popędy działalności, aby wszystkie czynności i prace moje były tak jednostajne i niezmiennące, jak obrót niezliczonych kół moich maszyn. Wnętrze fabryki podobne jest do mechanizmu zegarka; póki tylko umiejętnie i w porę nakręcony, póty wszystkie kółka i sprężynki w bezprzerwanym i ściśle wymierzonym zostają ruchu. Ja byłem właśnie ręką nakręcającą, i niepotrzebowałem ciągle wpatrywać się w działanie mechanizmu.

To też zostawały mi chwile swobodnego czasu, w których z radością wróciłem do książek, oddawna przez zbytek zajęcia rozłączonych z mną. Gdy pierwszy raz przekładać i układać je zaczął, technicy na mnie wspomnieniami lat minionych prac i uciech uniwersyteckich. Jakkolwiek będąc w Liège, mało czasu poświęcałem towarzystwu i rozrywkom, serdeczne stosunki wiązały mnie z kolegami. Wspólne zajęcia i nadzieje, wzajemnie oddawane sobie drobne przysługi, ciepło serc młodych wreszcie, stanowiły ścisłą spójnię między mną i nimi. Gdy więc spojrzałem na książki z Liège przywiezione, stanął mi w oczach obraz pocziwów, wesołej, pracowitej młodzieży; jak ze snu budzone, powstawały w pamięci mojej imiona, twarze, postacie, otaczały mnie mnóstwem to poważnych, to serdecznych, to koniecznych wspomnień. Mimowoli pomyślałem: czy też kiedy w życiu spotkam się z nimi? i obejrzałem się jakbym którego z nich przyjazną twarz chciał ujrzeć, i machinalnie nadstawiłem ucha jakbym czekał, aż mnie który zawoła. Ale wzrok mój przesuwając się po wysokich i białych ścianach, spotkał tylko dużego pajaka snującego u sufitu szarą tkankę, a o słuch mój ciągnął, jednostajny, niezbytłagany, objął się huk maszyn. Nagle wydało mi się, że huk ten zmniejszał się i zwałniał, myśl błyskawiczna, że cokolwiek w fabryce popsuc się mogło, przebiegła moją głowę, rzuciłem książkę trzymaną w ręku, porwałem za czapkę i wybiegłem, ani myśląc już o tłumie wywołanych przed chwilą wspomnień.

Pospiech mój jednak próżnym się okazał, wszystko szło jak zwykle ze ścisłą regularnością, i obecność moja nigdzie nie była potrzebna. Wróciłem do mego mieszkania i wieczoru tego pisałem długi list do siostr i ojca, a gdy skończyłem, po raz pierwszy od przybycia do Hor poczułem potrzebę ich widzenia. — Z żalem pomyślałem, że obowiązek i ogromna przestrzeń dzieli mnie z cichym i pięknym moim kątem rodzinnym, i długo w noc przechadzałem się zamyślony po pustym mieszkaniu mojem.

Mieszkanie to umieszczone na wysokim piętrze jednej z budowli fabrycznych, składało się z pokojów wygodnych i obszernych, ale samą tą obszernością swoją posępnych. Wysokie ściany zakończone sklepieniem sufitem, rzadka i sztywnie ostawione sprzętami, technicy wilgocią przypominającą świeże naprawy, i miały w sobie coś klasztorowego. Długie i wąskie okna osadzone w głębokich framugach z wysoka, panowały nad okolicą, z jednej strony wychodząc na wielki czworokątny dziedziniec fabryczny, tak, że mur przeciwny, w środku dnia ciemność do pokojów sprowadzał, z drugiej wznosząc się nad niewielkim owocowym sadem, w którym kilkanaście bezlistnych w zimowej porze drzew, smutnie się kołysało na tle szarych obłoków. Za sadem było owo niewielkie wzgórze, które dało nazwę całemu majątkowi, a z za niego wysuwała się jednym końcem wioska, ukazując grupę drzew i parę chat, których reszta za pagórkami się kryła. W koło ogrodu, wzgórze i wioski, był rozłóg szeroki, nie dający oku spocząć na niczem, tak gładki jakby go jakaś olbrzymia zheblowała piła. Gdy obszar ten śniegiem był pokryty i w górę również białe zawisły obłoki, oko daremnie siłowało się odnaleźć na dalekim krańcu granicę między ziemią i niebem. Niekiedy tylko gromada kruków zaczerniała na śniegu, i z krzykiem podnosząc się z ziemi, powolnym lotem okrążała zdala gmach fabryczny, od którego odstraszała

go gęsty dym, kłębami buchający z kominów. Gdy wiatr był silny, kłęby gnane przenieśli, wisiały przed oknami gęstą szarą zasłoną, i skupiając się stopniowo opadały na ziemię, czołgając się po niej, niby olbrzymie parą ziejące węże.

Często gdy znużony kilkogodzinną pracą, dla odpoczynku chodziłem po tem siedlisku mojem, stawały mi przed wyobraźnią uśmiechnięte, osłonecznione pokoje rodzinnego domu, — widziałem Felicję z książką lub kluczykami, Kocię z bukietem świeżych kwiatów w ręku. Uśmiechałem się wewnętrznym do wdzięcznego wspomnienia, — ale najczęściej w tej samej chwili, wchodził pod-dyrektor z raportem, albo wzrok mój spotykał otwartą i czekającą na mnie księgę rachunków, albo jeszcze przynoszono mi od jednego z korespondentów fabryki list, wymagający bezzwłocznej odpowiedzi, — piękne postacie siostr moich i obraz jasnego domu, pierzchały z przed mych oczów, a zamiast nich stawały nieublagane cyfry lub techniczne wyrazy, brzmiały twardo jak najtwardsza rzeczywistość.

W ogóle wiedłem życie pustelnicze, niemal odludne. Pod-dyrektor nie mógł mi być żadnym towarzyszem, — ciasnego umysłu tej kapitalnej wady człowieka, nie wynagradzał żadną zaletą serca. Spotrzymałem że mnie nie lubił, zazdrościł mi wyższego położenia, którego w ślimaczym swoim pochodzie sam dopiąć nie mógł. W spojrzeniu jego widziałem zawiść, jaką ma zawsze mierność ze steranem w nieudolnych dążeniach życiem, ku młodości która widzi przed sobą światy i czuje siły do ich zdobycia. Miałem więc z nim stosunek tylko oficjalny, mówiliśmy z sobą wtedy gdy wymagały tego interesa fabryki. Oprócz poddyrektora było jeszcze wprawdzie w zakładzie kilku oficjalistów, ale byli to ludzie mało oświeceni i do zbytku przejęci moją nad nimi wyższością, — wszelki więc bliższy między nami stosunek, już przez to ostatnie stawał się niemożliwym.

Z państwem L. przez cały czas pobytu mego w Horach, wiązały mnie pełne wzajemnej życzliwości stosunki. Bywałem u nich jednak bardzo rzadko, nie chcąc naprzód odrywać się często od mych zajęć, a potem nie mogąc się zupełnie pogodzić z brakiem ich umysłowego wykształcenia. Tacy jakimś byli, wydawali się mnie, przebytemu ze świata nauki, książek i błyszczącej cywilizacji, nieco średniowiecznymi.

Wszakże nie mogłem ich nie uszanować, za ich istotne a tak rzadko spotykane, w klasie do której należeli, zalety. Posiadacze milionowej fortuny i potomkowie starożytnych rodzin, mogliby jak inni, patrząc na szczyt swojej wielkości, podnieść głowę pod niebiosy i nigdy już ją do równiej wysokości z głowami innych śmiertelników nie spuścić. Mogliby, słowem, dąć się, pogardzać innymi i próżnować. Tymczasem byli oni prości, serdeczni dla każdego bez względu na ród i majątek, pracowici według własnych, lubo nie szerokich i nie zbyt trafnych o pracy pojęć. Patrząc na pana Mieczysława myślałem nieraz, iż lepiej by zapewne było, aby przy gorącym i pocziwem swoim sercu, posiadał jeszcze to umysłowe światło, z pomocą którego jedynie mógłby godnie zużytkować, dobre popędy swej natury i wielkie swe materialne środki. Ale z drugiej strony znowu, wołałem go, takiego jakim był, z prostotą jego i instynktową a nieskalaną zanością, jak owych paniczów, których wolnych słuchaczów, wracających do kraju na Baden-Baden i Homburg, z wyniszczonym ciałem, zaćmioną myślą, nosem zadartym i wypróżnioną kieszenią. Jakież umysłowe zalety posiadli ci wolni słuchacze? Szczyptę francuskiej galanterii w salonach, potężną dozę niedołącznego *nil sentiri, nil admirari* trochę napuszczonych z niemieckiego frazesów o *utilitaryzmie, realizmie, humanitaryzmie*, i wszelkich możebnych *izmach* i *yzmach*, których sensu bynajmniej nie rozumieją, i zresztą ogromny garb moralny, napchany zarozumiałością i kłamstwami. O, kłamstwami nade wszystko! Słyszałem jednego z takich, który opowiadał, że gdy się uczył (!!!) w Brukselli, miał zwyczaj jadać codziennie obiady u francuskiego posta, a z angielskim często polował. Drugiego pani Zand bawiła w Brukselli, prosiła do siebie na śniadanie, ale on zmuszony był odmówić, bo już w przeddzień obiecał swą bytność Wiktorowi Hugo, mającemu zamiar zasięgać jego rady, co do pewnego szczegółu w charakterze bohatera ostatniej swjej powieści. Myśląc o takich milionowych, ba, nawet i nie milionowych,

często paniczach, z szacunkiem patrzyłem, na pana L., i z sympatją ścisnąłem grubą dłoń jego. Ta sama ręka chuda i wyniszczona, mogłaby dumnie wyciągać dwa palce ku niższemu stanem, i z nerwowym drganiem rzucać ciężko przez innych zapracowane złoto, na czerwone i czarne, albo zielone pole. (d. c. n.)

KAROLINA BRONTĚ

(CURREL BELL).

Jéj życie i pisma.

I

Stałe czytelniczki niniejszego pisma, niezapomniały zapewne znakomitę powieść Karoliny Brontë, pod tytułem: *Joanna Eyre*, przed kilku laty w wybornym tłumaczeniu pani Faleńskiej w Tygodniku drukowanej. O ile zajmującą mogła być powieść, o tyle bardziej jeszcze jest zajmującą postać samej autorki, poznanej w wewnętrznym i zewnętrznym jéj życiu, którego zresztą smutne dzieje, w wiernym obrazie, tak w *Joannie* jak i w dwóch po niej napisanych powieściach, sama skreśliła.

Nie masz, wedle naszego mniemania, większej przyjemności dla myślącego czytelnika, jak poznać wpływy, pod których naciskiem, znakomity pisarz wylewa uczucia przepełniające jego piersi, wypowiada myśli tłoczące się w jego głowie, gdyż tym sposobem i czytelnikowi uda się niekiedy, zajrzeć w najgłębsze tajemnice ducha, pracującego nad rozwiązaniem pytań, które razem z pierwszym dniem stworzenia postawione po dziś dzień, pomimo mozolnej i trwałej pracy wieków, rozwiązania nieznalazły. Wszelkie kreacje umysłu ludzkiego w dziedzinie literatury, niezależnie od potęgi talentu jakim twórca ich obdarzonym został, mają ścisły związek z jego charakterem, kształcącym się znowu wśród rodzinnej życia, pod wpływem otaczającej go natury, społeczeństwa którego jest członkiem, tysiąca okoliczności i wypadków, oświeconych niekiedy rzadkimi błyskami wesela i szczęścia, zachmurzonych najczęściej mgłami zwątpienia i rozpacz. Każdy głos z zewnątrz znajduje echo w jego sercu, budzi tysiące nowych myśli i wyobrażeń; widzi on i słyszy, czego inni niewidzą i nie słyszą, staje się powiernikiem przyrody, serce ludzkie niema dla niego tajemnic. Wtedy, dojrzwiając powoli, uczuwa nieprzeczwyczajoną potrzebę podzielenia się z bliźnim, nagromadzoną w swojej duszy skarbnicą. Przyjmując je z zapalem i wdzięcznością w pierwszej chwili zachwytu, uczuwamy następnie pragnienie dowiedzenia się, w jaki sposób skarby te powstały, czy są owocem wewnętrznej pracy ducha, czy też zebrane w drobnych cząsteczkach po świecie, przepalone w ogniu myśli i uczucia, oczyszczone z obcych pierwiastków, czystym na świat wychodzą złotem.

Mało jest znakomitych ludzi w jakimkolwiek zawodzie, po którychby w ich własnych pismach, lub pismach ich przyjaciół, tyle obfitego zostało materiału, dla badacza duchowego ich rozwoju ile w dziełach samej Miss Brontë, i w obszernym dwu tomowym jéj życiorysie, napisanym i wydany w Londynie przez Miss Gaskell, pod tytułem: *The life of Charlotte Brontë*.

Mamy nadzieję, że choć portret w dziele tém śmiało nakreślony rysami, przez nas tylko na drobną miniaturę przerobiony, da czytelnikom Tygodnika Mód pojęcie o charakterze i talencie, godnej niewieściego współczucia, przez całe życie nieszczęśliwej Karoliny.

Talent Miss Brontë do tych właśnie należy, które głównie pod zewnętrznymi rozwijają się wpływami, a nawet zewnętrznego potrzebują bodźca, do rozbudzenia się i okazania w całej pełni swéj siły i potęgi. Karolina jest niejako, jeżeli się tak można wyrazić, *wytworem*, ofiarą i męczenniczką okoliczności. Działa na nią naprzód odrębna i zupełnie wyłączna nosząca na sobie charakter, cywilizacja; urodzona Angielką, jest Angielką i tylko Angielką. Wychowanie jéj umysłowe jest angielskie, i czyni ją ślepą na wszystko, co nie ma związku z jéj krajem. Chwilowy pobyt na stałym lądzie, zgrozą ją napelniał, podziela ona wszystkie uprzedzenia najzgorzalszych protestantów przeciw katolicyzmowi. Rzecz dziwna ona która potem z taką energią walczyła przeciw przesądom socjalnym, sama z angielskich przesądów otrząść się nie umie.

Obok téj wyjątkowej cywilizacji, wyjątkowe jeszcze i niezwykłe działają na nią okoliczności. Wychowuje się pośród wieśniaków, którzy dotąd niepozbyli się resztek starego angielskiego barbarzyństwa. Nieznała prawie pieśczęci matki, żyjąc w towarzystwie dziwaczego, ponurego i gwałtownego ojca. Długoletnia samotność zapełniła jéj wyobraźnię gorączkowymi widziadłami. Nieraz z niezwykłą mocą ducha pragnęła walczyć z losem, i upadała znowu pod brzemieniem nieszczęścia, które z takim uporem prześladowało jéj rodzinę. Była guwernantką, musiała znieść tysiące upokorzeń, żyjąc wśród mieszczanek, dumnej z swoich bogactw rodziny. Nawet natura wśród której szukała niekiedy pociechy, była prawdziwą macochą dla tego odludnego i pustego zakątka Anglii, w którym mieszkała Karolina. Widok z jéj okna wychodził na cmentarz, „pełen aż po brzegi“ jak się poetycznie w swoim dzienniku wyraża.

Lecz przejdźmy do faktów, są one wymowniejsze i prędzej od słów naszych trafią do serca czytelnika.

Wies w której Karolina przepędziła większą część swego życia, nazywa się Haworth, i leży w hrabstwie Yorkshire.

Na pochyłości wzgórza, dzikimi zarośniętego krzewami, porożucane tu i owdzie wznoszą się chaty, plebanja otoczona grobami, stoi naprzeciw kościoła, panując nad wsią. Okolica jest pusta, smutna, pozbawiona wszystkich sielskich wdzięków. Fabryki, mieszkania robotników nadają temu ustroniu charakter odrębny, tak że ją zarówno za wieś, jak za miasto wziąć można. Oto krajobraz — przypatrzmy się teraz mieszkańcom. Ludność Yorkshire posiada wszystkie stare przymioty i stare wady angielskie.

Mieszkańcy nieuludcy, niemilosierdni, niegościnni. Postępują uczciwie i dotrzymują słowa, tylko w stosunkach wzajemnych, obcy budzi w nich wstręt i nieufność. Każdy Anglik liczy sam na siebie, ale mieszkańiec Yorkshire wierzy tylko sobie i swoim sąsiadom. Jak dalece pozwala w sercu zagnieźdzać się uczuciu nienawiści, najlepiej maluje miejscowe przysłowie: „włóż kamień w kieszeń, zachowaj go lat siedm, przewróć na drugą stronę i znowu drugie lat siedm trzymaj, ażebyś spotkałszy nieprzyjaciela, miał go czem uderzyć.“ Wiare w powodzenie i częśd dla pieniędzy, dzielą ze wszystkimi Anglikami. Pewien spekulant szczęśliwy zawsze w przedsięwzięciach, zabezpieczył swoje życie, niedługo potem ciężko zachorował, i kiedy lekarz oznajmił mu groźące niebezpieczeństwo: „prawdziwie, zawołał, urodziłem się w czepku, — umieram, jedną tylko ratę zapłaciwszy towarzystwu.“

W pierwszej połowie bieżącego stulecia, kiedy pan Brontë objął zarząd swojej parafii, najdziksze pomiędzy ludnością panowały obyczaje: zemsta przechodziła w spadku z ojca na syna, zbrodnie poczytywano za moc ducha. Kto najwięcej pił a najtrudniej się upijał, za lohatera był uważany. Zabawy które mieszkańcy tutejsi czas zabijali, wstrętem przejmując; do najniewinniejszych należały wyścigi piesze, w których biorący udział, dla ulżenia sobie ciężaru, całą odzież z siebie zrucali, do najmniej moralniejszych zaś zwyczajów stypy pogrzebowe. W chwili kiedy grabarze niezdolali jeszcze spuścić do grobu umarłego, zakrystjan uroczyste oznajmiał przyjaciołom i krewnym, że „pod czarnym Bykiem“ czeka na nich uczta. Towarzystwo udawało się na wskazane miejsce i topiło smutek w piwie, araku i wódce. Przed końcem stypy połowa gości leżała na ziemi, a reszta dowodziła przytomności umysłu, staczając krwawe bójki. Podobne obyczaje musiały zrodzić obojętność na życie ludzkie, tłumiacząc nawet rodzicielskie uczucia. Opowiadają, że jakiś chłopiec wskoczywszy do rzeki, trafił nieszczęśliwie na miejsce w które wrzucano potłuczone garnki i butelki, i przeciął sobie arterję; krew płynęła strumieniem, tak że osłabiony ledwie się przywlokł do domu. Rodzice wiedzieli dobrze, że wskutek ujęcia krwi śmierć może nastąpić, pocieszała się jednak myśl że z ubytkiem dziecka ubędzie im kłopotu. Miss Gaskell która była świadkiem tego wypadku, zapytała oburzona, czy posłano po chirurga:

— Tak, odpowiedział ktoś z obecnych, przybył jedynie żeby się niezwykłemu przypatrzeć widowisku, lecz wątpię żeby przyjąć zechciał.

— I dla czego?

— Jest on już stary, astmatyczny, a tu kawał drogi iśćby mu trzeba.

Miss Gaskell pobiegła sama do mieszkania chirur-

ga, w drodze spotkała wracającą od niego ciotkę chorego.

— Czy przyjdzie?

— Nie, powiedział że nie przyjdzie.

— Powiedz mu że dziecię umiera.

— Powiedziałam.

— I cóż odpowiedział?

— Niech go diabli wezmą, a cóż mnie to obchodzi?

Dla uzupełnienia obrazu dodać należy, że kiedy dziecię tonęło w własnej krwi, brat jego starszy najspokojniej palił fajkę.

Lecz nie tylko niższe warstwy społeczeństwa, ale bogaci dzierżawcy, squire-owie, znakomitości hrabstwa, odznaczają się równie nieczulym i surowym charakterem. Ekscentryczność angielska, cechująca się gdzieindziej nieszkodliwą mizantropją, lub niewinnymi dziwactwami, przemienia się wśród tutejszej ludności na okrucieństwo. Pewien dzierżawca mieszkający w starożytnym domu wiejskim, odwiedzanym kiedyś przez antykwariuszów, wynalazł niezawodny sposób, oddalania nieproszonych a ciekawych gości, strzelał do podróżnych i poranił wiele osób.

Ludzie z podobnie nietowarzystkiem usposobieniem, musieli stanowić niełatwą do prowadzenia owczarnię. Kronika miejscowa zachowała mnóstwo wspomnień, o trudnościach i kłopotach, jakie pastery parafii Haworth spotykały. Poprzednik p. Brontë, p. Redhead musiał uciekać, nie mogąc znieść prześladowania parafian, którzy sobie wyobrażili, że jego nominacja narusza jakieś przywileje gminy. W pierwszą niedzielę, kiedy rozpoczął nabożeństwo, poprzestali na wyprawieniu kocięć muzyki, kijami i pałkami na ten chwalebny cel przyniesionemi; następnej wszakże niedzieli dowiedli, że posiadają wynalazczą imaginację, i że siedem dni tygodnia dobrze użyć umieli. W czasie służby bożej wprowadzono osła, na którym siedział człowiek tyłem do głowy zwierzęcia, przybrany w piramidę ze starych kapeluszy. Osieł postępował poważnie, wśród śmiechu i okłasków nabożnych, głoszących śpiew pana Rehead. Trzeciej niedzieli proboszcz osądził, iż należy mu przedsięwziąć środki ostrożności, udał się do kościoła w towarzystwie kilku przyjaciół ze wsi sąsiedniej. Krok ten przyprowadził do wściekłości jego owieczki. Wyszukują umorusanego sadzami kominiarza, upajają, wprowadzają do kościoła i stawiają wprost pulpitu p. Rehead. Za każdym słowem ministra, czarna głowa poruszała się, ku wielkiej pociesze obecnych, dowodząc tego sposobem jak skuteczny wpływ nauki kapłana wywierają. Nagle w przystępie czułości, tak często napadającej pijanych, kominiarz zrywa się i chce uściskać p. Rehead. Rozpoczyna się walka w której udział biorą zgromadzeni. Wśród hałasu i krzyku wszyscy wychodzą z kościoła, a pastor zmuszony jest ukryć się w pierwszej lepszej szynkowni. Tłum oburzony, że mu przerwano zabawę, szturmując, wybija drzwi szynkowni, z której szczęściem p. Rehead, tylnymi zdołał się wymknąć drzwiami. Wszakże i ta łagodna owczarnia dostawała niekiedy godnego siebie pasterza. Jeden z poprzedników pana Brontë nazwiskiem Grimshaw, postanowił zreformować swoją parafię, na co, jak oświadcza, we śnie wyraźny rozkaz z nieba otrzymał. Dla dopięcia tego celu, gotów był ponieść wszelkiego rodzaju ofiary. Odbysz nabożeństwo i spełniwszy swoje zwyczajne obowiązki, szedł nauczać z domu do domu po dwadzieścia i trzydzieści razy na tydzień. Nie łatwą to było rzeczą nawrócić tak zatwardziały grzeszników, gdzie łagodność i uwagi niewystarczały, potrafił być surowym. Dostrzegłszy nieobecność którego z parafian, wychodził z kościoła podczas kiedy zgromadzeni śpiewali psalmy, i uzbrojony kijem szukał zbiega po szynkowniach wiejskich, skąd go do kościoła niezapłacając razów, zapędzał.

Czytając i opisując te charaktery i obyczaje, zdaje nam się iż poruszamy kości ludzkie na starych cmentarzach, gdyż nieznane wcale na stałym lądzie, zaczynają powoli niknąć i w samej Anglii. Bądź co bądź, na łonie tego społeczeństwa wzrosła i większą część swego życia spędziła Karolina Brontë. Ci którzy czytali jéj powieść, uważali zapewne, że niektóre ich ustępy, są tylko prostymi wspomnieniami, i pojmą o ile zetknięcie z tą barbarzyńską i dziwaczną naturą ludzką wpłynęło na jéj talent, nadając mu niezwykły hart i energję.

II.

Patryk Brontë ojciec Karoliny, który przeżywszy całą rodzinę, przed kilku laty, mieszkał jeszcze

w Haworth, urodził się w Irlandji w hrabstwie Down. Jego charakter irlandzki i obyczaje angielskie, dziwną uczyniły mieszaninę. Krew celtycka objawiała się u niego gwałtownymi wybuchami, saksoński charakter zaciętym uporem.

Chcąc zapanować nad ogarniającym go gniewem, miał zwyczaj strzelać z pistoletu, do krzaków rosnących za domem, dopóty, dopóki się nieuspokoził. Inną razą rzucał dywan lub jakiś inny przedmiot w ogień, czekając dopóki się niespali. O wychowaniu miał prawdziwie stoickie wyobrażenia. Lękał się ażeby jego dzieci, nie nabrały upodobania w jedzeniu lub ubiorze. Pożywienie ich było o ile być może najskromniejsze, odzież jak najprostsza. Pewnego razu kiedy dzieci miały się udać na przechadzkę, bona ustawiła przy kominku, cały rząd zgrabnych trzewiczków, które dostały w podarunku. Wchodzi p. Brontë, spostrzega nieszczęśliwe trzewiki, rzuca je w ogień. Jego żona dostała jedwabną suknię, której nienosiła nigdy, a którą zawsze starannie zamykała w jednej z szuflad komody, — raz usłyszawszy że mąż wchodzi do jej pokoju, i przypomniawszy sobie że zostawiła komodę otworem, spieszenie powraca. Już było zapóźno, suknia jej leżała podarta na szmaty. Nie należy ztąd wnosić, żeby p. Brontë był tyranem domowym, ta gwałtowność charakteru nieprzeszkadzała mu kochać czule rodzinę, być dobrym ojcem i małżonkiem. Parafianie szanowali go powszechnie, znajdując zawsze u niego radę i pomoc.

Ożenił się bardzo wcześnie, pełniąc po raz pierwszy obowiązki swego stanu w Hartsheat w hrabstwie Yorkshire, zakochał się w młodej osobie, miss Branwell córce kupca, bawiącej u swego krewnego. Pan Brontë był młodym, przystojnym, żywym, i nieumiejącym czekać — miss Branwell łagodna, nabożna, posłuszna: małżeństwo szybko się skojarzyło. Z tego małżeństwa zrodziło się sześcioro dzieci, pięć córek: Marja, Elżbieta, Karolina, Emilia i Anna, i jeden syn, Patryk Branwell (*). Najstarsza z tych córek miała sześć lat, kiedy się urodziła Anna. Miss Brontë niedługo umarła, po objęciu przez jej męża obowiązków w Haworth, dla tego też Karolina i jej siostry nieznały matki.

Zostawione sobie dzieci, wcześnie bardzo nauczyły się myśleć. Umysł ich rozbudzony, czytaniem bez wyboru, rozwinął się wprawdzie szybko, ale temu nienaturalnemu rozwojowi, przypisać należy chorobliwą czułość, a może i śmierć przedwczesną. Pan Brontë w liście do pani Gaskell opowiada zdarzenie mogące dać wyobrażenie o tej niezwyklej dojrzałości dzieci, z których najstarsze miało wówczas lat dziesięć, a najmłodsze cztery.

Zaczęłam od najmłodszej Anny, pisze pan Brontë, i zapytałam jej, czego dziecię najwięcej potrzebuje, odpowiedziała, lat i doświadczenia. Zapytałam następnie Emilję, co mam robić z jej bratem Branwellem, jeżeli niezechce postępować rozsądnie, odpowiedziała, starać się go przekonać, a jeżeli nieusłucha, obić go. Zapytałam Branwell, jaki jest najlepszy środek poznania różnicy, pomiędzy inteligencją kobiety i mężczyzny, odpowiedział, zastanowić się nad różnicą pomiędzy ciałem jednej i drugiego. Zapytałam Karolinę, jaka jest najlepsza książka na świecie, odpowiedziała, Biblia, a po niej? Księga natury. Zapytałam Elżbietę, jaki jest najlepszy systemat wychowania kobiety, odpowiedziała, ten, który ją nauczy domem zarządzać. Nakoniec, zapytałam najstarszą Marję, jaki jest najlepszy sposób przepędzania czasu, odpowiedziała, przygotować się do szczęśliwej wieczności.

W rok po śmierci miss Brontë, przybyła jej siostra miss Branwell, dla zajęcia się wychowaniem siostrzenic. Nie była ona zdolną wpływać na te charaktery, które zaczęły rozwijać się w samotności. Zamknięte w sobie, niełatwo było na inną skierować drogę. Miss Branwell odznaczała się dobrocią, poświęceniem, lecz przybyła do domu szwagra, podając się konieczności, ztąd przymus i smutek, których ukrywać nieumiała, a które przeszkadzały do zawiązania się pomiędzy nią a dziećmi tkliwych stosunków.

Wszystkie najnieprzyjaźniejsze okoliczności zdawały się spryskiwać, ażeby u Karoliny i jej siostr, umysł przybrał kierunek, wiodący tak smutne za so-

bą następstwa. Lata szkolne, są zwykle dla dzieci, pomimo karności, latami najświeższych wspomnień. W szkole Cowan-Bridge, Karolina po raz pierwszy, doznała skutków przewrotności serca ludzkiego. Doświadczenie to niezartem w jej umyśle zapisało się z głoskami, wspomnina o nim w pierwszej części, *Joanny Eyre*, i nie dziwnego gdyż siostra jej Marja padła właśnie ofiarą tej przewrotności. Marja Brontë służyła za pierwowzór do skreślenia postaci Heleny Burus. Obudziła ona niepojętą antypatję ku sobie, w jednej z młodszych nauczycielek, znaniej czytelnikom *Joanny Eyre*, pod nazwiskiem miss Scatterd. Przebywszy lekką słabość, w kilka dni Marja znowu się gorzej uczuła, i pragnęła w łóżku pozostać; nauczycielka nie zgadza się na to.

Dzieci drząc z zimna, na pół się podnosi i nieopuszczając łóżka zaczyna się obuwać; nauczycielka chwyta ją za ramię, ciągnie na środek sypialni, uderza w bok, w to samo miejsce, na którym znajdowały się jeszcze świeże ślady wizerunku, i lży ją, nazywając próżniakiem. Oburzenie jakie w sercu Karoliny wzbudził ten widok, trwało do śmierci, i po upływie lat dwudziestu, kiedy opisywała szkołę w Lowood, równie żywym jak pierwszego dnia było.

Marja umarła niedługo po tej scenie, a po niej wkrótce Elżbieta. Karolina znalazłszy się nagle najstarszą w rodzinie, powróciła z Emilją do Haworth. Dotąd było to dziecię myślące ale wesołe, opowiadając ci, którzy ją znali w tej epoce. Od tej chwili ten promień wesela zagasł, i przyszła autorka *Joanny Eyre* weszła na drogę, która wprawdzie nadała wiele oryginalności talentowi, ale zatrzymała jej życie.

Wiele lat upłynęło, lat samotności, w których dzieci zamknięte w Haworth, rosły i wychowywały się same, znając jedynie towarzystwo ciotki i stariej służącej, imieniem Tabby, w tym właśnie czasie przyjętej do służby, a następnie przez lat trzydzieści, dzielącej losy rodziny, Brontë, Tabby zasługuje na osobne wspomnienie, opowiadaniem jej cudownem, winni jesteśmy może niejedną wzruszającą scenę, w powieściach Karoliny, silnie one działały na wyobraźnię, tej ostatniej, budząc w sercu autorki *Joanny Eyre*, wiarę w zjawiska nadprzyrodzone, wiarę nieznaną zwykle zimnym i pozytywnym umysłem angielskim.

Brat i siostry czytały wiele, a więcej jeszcze pisały. Pisały powieści, poemata, dramata, dzień i noc prawie bez spoczynku. Bawiły się w romansopisarzy i poetów, tak jak inne dzieci bawią się w żołnierzy; wydawały *Magazine*, którego były zarazem redaktorkami, czytelnikami i abonentami. Karolina mianowicie drobnem czytelnem i pięknem pismem, zapełniała całe libry papieru. Miała ona wówczas lat trzynaście. Artykuły wstępne i polityczne; umieszczane przez nią w onym dzienniku, zadziwiała jeżeli nie głębokim sądem, i nowością poglądów, to przynajmniej namiętnym udziałem, jaki młody ten umysł, brał w polityce. Siostry jej i brat nie mniej gorąco zajmowali się publicznym życiem. Tylko dzieci angielskie przedstawiają ten ciekawy fenomen, odrębnym ich wychowaniem, wytłomaczyć się dający, a szczególnie wielką żywotnością, ducha narodowego, w najdrobniejszych podziałach czującego się częścią wielkiej społeczności.

Około piętnastego roku życia, wysłano Karolinę na pensję miss Wooler, do Read-Head; na której pobyt stanowi jedną z pogodniejszych epok w życiu naszej bohaterki. Karolina znalazła tu towarzystwo, którego dotąd taki brak dawał jej się uczuwać. Zawiązała stosunki przyjaźni, i niektóre z nich z życiem się dopiero skończyły. Natura w Boe-Head nie była tak ponurą jak w Haworth, lecz pełną wdzięku i rozkoszy. W okolicy znajdowało się mnóstwo starych zamków, o których romantyczne opowiadano legendy. Miss Wooler przyjemna i poważna angielska, lubiła je sama opowiadać swojemu uczniom, których serca dziwne sobie zjednywać umiała. Ten pobyt w Roe-Head i opowiadania miss Wooler, dostarczyły Karolinie treści do romansu pod tytułem *Shirley*. Bohaterkami powieści są przyjaciółki pensjonarskie, bohaterkami, osoby rzeczywiste, wzięte z opowiadań miss Wooler. Miss Brontë zebrała w *Shirley-u*, wszystkie wspomnienia rzadkich szczególnych chwil w życiu, jak w *Joannie Eyre* wspomnienia długich lat cierpień, tęsknoty i zwątpienia.

(d. c. n.)

W PAŁACU I W CHATCE

POWIEŚĆ

Berthold'a Auerbach'a,

przełożona z niemieckiego

PRZEZ

JOANNĘ BELEJOWSKĄ.

(Dalszy ciąg)

* * *

Muszę jechać; pojadę do Włoch, do Hiszpanji, do Paryża, na Wschód, do Ameryki. Pojadę do Rzymu i zostanę artystką. Skoro muszę jeszcze być na świecie, więc chcę żyć, nie wyrzekać się niczego, zaparcie się nie leży w mej naturze. Miałabym się tę odepchnąć i o ziemię rozbić pełną czarę rozkoszy, ale tego nie potrafię aby ciągle mieć ją przed oczami, i związać sobie ręce i wyrzec jej się na zawsze. To za nadto, muszę jechać. Już wyobrażnia przenoszę się do Neapolu, widzę przepyszną willę nad morskim wybrzeżem, rozkoszne morskie przejażdżki, ludzi przybranych w świetne i wesołe szaty, śmiejących... Chcę rzucić się w wir życia, to lepiej niż śmierć zadawać sobie... Ale nie, nie mogę...

Wyszedłam i wszedłszy do ogrodu, wydrążyłam otwór w ziemi i włożywszy weń ręce, przysięgam; że nie oddalę się stąd, póki przynajmniej nie minie rocznica mej śmierci, i ziemia nie będzie znów taką jak jest teraz.

Znowu jestem spokojna.

* * *

Jednak! pokusa odzywa się ciągle. Powinam wrócić do świata który do mnie należy! I cóż się takiego stało? Czyliż tysiące kobiet stokroć winniejszych odemnie, nie żyje wśród zaszczytów i godności? Jest we mnie jakaś cząsteczka wieśniaczki natury, budząca we mnie uczucia prostej wieśniaczki, i uczucie to woła: Powinnaś odpokutować za swoją winę! Jednak gdybym dziś wyszła z mego ukrycia, wszystko skończyłoby się na niczem, uchodząc tylko za ciekawą, niezwykłą przygodę... Nie było mnie kilka tygodni... potrzeba tylko trochę czelności... a cztery rumaki mego powozu pysznie uniosą mnie przed innymi, i wszyscy znów pochylą czoła, z pokorą. Pod djademem błyszczącym na mojem czole, nikt nie dojrzy strasznego piętna jakim je naznaczyła ręka umierającego... Tak! ale ja wiedzieć będę co tam było wypisane!..

* * *

Stary Joachim przynosi mi często swoje pieniądze prosząc abym je przerachowała, bo ludziom, jak mówi, dowierzać nie można.

Wuj Piotr mówi niekiedy: Po co ten biedny Joachim tak długo żyje, kiedy nie posiada na świecie nic prócz nienawiści i podejrzenia?

Stary Joachim jest prawdziwym Learem wiejskim, ale że zaniósł skargę do sądu, więc los jego nie przedstawia nic tragicznego. Nie ma trybunału do którego król mógłby i chciał zanieść skargę, i dla tego monarsze nieszczęście jest tragiczne i wzniósłe.

Wuj Piotr powiada, że wszyscy prawie wieśniacy podobnie obchodzą się z rodzicami i krewnymi, gdy nie spodziewają się po nich.

* * *

Obecnie słychać tu tylko odgłos dzwonek uczipionych u zaprzęgu koni ciągnących sanki; — pilnie pracują w lesie. Gdzie indziej śniegi i lody psują drogi, tu przeciwnie urządzają je, że tak powiem.

* * *

Nie raz, gdy pies zaszczeka na dziedzicu, przybiegam co prędzej do okna — może przybywa ktoś obcy, może... I wtedy myślę sobie: Gdyby tak niespodzianie przybył tu Intendent lub doktor Gun-

*) W Anglii często dc imion chrzestnych synów, dc-dają nazwisko matki.

ther aby mnie zabrać i zawieść do dworu? Dreszcz mnie przebiega — czy byłabym posłuszną?..

* * *

Jakże to dobrze że umiem na pamięć wiele pięknych poematów, a szczególnie arcydzieł nieśmiertelnego Goethe'go!

„Znajdziesz spokój na wysokościach.“ Ustęp ten co chwila przychodzi mi na myśl, i pieszczę się jego melodią i dziwną prostotą wyrażen. Często powtarzałam ten wiersz przy starym Joachimie, pojmuję on go dobrze a wujaszek Piotr umie już nawet na pamięć. Szczęśliwy każdy wielki poeta! Oto jedna godzina jaką tu przeżył, odtwarza się wiekuisie dla tysiąca żyjących po nim jednostek. Jakże się dziś cieszę że skarb taki posiadam w pamięci!

* * *

Zaczynam mieć szacunek dla mego starego niewidomego.

Dziś przyszedł do mnie bardzo rano; ubrany był w swą świąteczną suknię, pierś jego zdobił medal.

Stanawszy przedemną rzekł bardzo wzruszonym głosem: Dziś odbywa się w kościele msza święta na moją intencję. Kiedyś, równie jak król mój, służyłem cesarzowi Napoleonowi; było to IX roku; do trzeciej po południu byłem zdrów zupełnie, aż nagle kula ugodziła mnie w lewe żebro i za to noszę teraz medal na prawej stronie piersi. Padając, pomyślałem sobie: Bywaj zdrów świecie! i poleciłem Bogu ukochaną narzeczoną. Potem, nie wiem już jakim sposobem znalazłem się w szpitalu, a gdy mi wyjmowano kulę, ani na chwilę nie przestałem palić fajki. Powoli wróciłem do zdrowia, ale nigdy nie zapomnę dnia tego, i dałem małą sumkę na nasz kościół parafialny, z zastrzeżeniem żeby w każdą jego rocznicę odprawiano mszę na moją intencję. Patrz, oto wydobyta kula, chcę aby po śmierci mojej, znów mi ją położono pod żebro i z nią pogrzebano.

Potem pożegnał się i prowadzony przez małe chłopię poszedł przez wieś do kościoła.

Odtąd chętniej będę przestawać i słuchać gawędy biednego niewidomego, bo mam dla niego szacunek, bo życie jego jest kroplą woceanie dziejów.

Wszystko co mnie spotyka, otacza, niebawem przekształca się w myśli i odnosi do jedynego mego zająca...

* * *

Jan zna się na żartach. Zeszłej nocy, ja, Walpurga i matka Beata długo w noc rozmawialiśmy z sobą; on nie nam nie mówiąc wyszedł przed dom, i udając jakby stróża nocnego, zaczął obwoływać godzinę. Rozśmialiśmy się szczerze i rozeszliśmy się zaraz.

* * *

Wujaszek Piotr jest uosobieniem wesołej biedy; zawsze wesół i swobodny, nie narzeka nigdy. Nadzwyczaj kontent że może być mi użytecznym. On to przynosi mi robotę i odnosi ukończoną; nadto pomaga mi przetrząść drzewo, i tak zręcznie i łatwo obraca siekierą i młotkiem, jak ptaszek szponami i dziobkiem.

Nie raz śmiejemy się wszyscy, jak zacznie utyskiwać że nie ma dziś lat dwudziestu kilku, bo w takim razie, czybym chciała czy nie, potrafiłby mnie skłonić do zostania jego żoną. I jednocześnie wysmiewa się z całej okolicznej wiejskiej młodzieży, — tak się boi abym nie poznała którego i nie poszła za niego.

* * *

Dziś odebrałam pierwsze pieniądze własną zarobioną pracę. Wuj Piotr wyliczył mi na stole nowiutkie, świecące srebro, bo na papiery ani patrzeć nie chce. „Patrz, srebro dźwięczy jakby się do ciebie śmiało“ rzekł mi.

Mój Boże! tak mały zarobek, a tak wielką przeżywa mnie radością! bo musiałam pracować aby go pozyskać, ja co dotąd umiałam tylko korzystać bezmyślnie z pracy innych.

Teraz mogę już oznaczyć stale ile będę płacić za moje utrzymanie; Walpurga nie chciała nic przyjąć, ale nie ustąpiłam. Dzięki niebu nie potrzebuję być nikomu ciężarem, potrafię zapracować na siebie.

* * *

Szczęście to wielkie, że zajęcie moje jest proste i machinalne, że nie wymaga głębokiej rozważni ani wysiłku wyobraźni. Nigdybym nie potrafiła pracować umysłowo.

* * *

Dzień nowego roku. Dziwne jakieś były dziś słowa i spojrzenia Jana; prawie zrobił mi oświadczenie, ale w dobrym tego słowa znaczeniu.

— Jakżem szczęśliwy, rzekł mi, że pokonałem już wszelkie pokusy. Kiedyś, gdy żona moja była jeszcze w pałacu, o mało nie uległem złemu; dziś jestem już spokojny; — kto raz przeżył ospę, już się jej nie lęka.

Cztery miesiące minęło jak tu przebywam.

Ręce mi poczerniały i zgrubiały.

* * *

Gdyby to można zawsze być sobą, to jest mózgiem zawsze rozporządzać całą pełnią sił swoich!

Tak często zapadam, czuję się tak samotną, opuszczoną, tak niezdatną do niczego, takbym potrzebowała poparcia i opieki. Czyjś?..

Zbieram siły i wracam do pracy.

* * *

Z jakimże to apetytem wszyscy tu w niedzielę zasiadają do stołu! Przychoǳą z dość oddalonego kościoła, gdzie karmili się duchowym posiłkiem, ale przychoǳą tak znużeni i głodni, iż trzeba aby ani chwili nie czekali na obiad, bo inaczej pocziwy Jan bardzo się niecierpliwi.

* * *

Cały dzień walczyć muszę z ciężkim smutkiem ogarniającym mnie od samego rana; wieczór, dzięki znużeniu jestem jakoś spokojniejsza.

Łatwo słyszeć gdy deszcz pada, śnieg zaś sypie w milczeniu — smutek zwyczajny jest głośny, zaś wielki, ześrodkowany w duszy, zawsze bywa cichy.

Zimno tu, bardzo zimno, ale mamy drzewo w pobliżu, a wielki mój zielony piec jest wiernym moim przyjaciелеm, bardzo dobrze trzyma ciepło.

Ludzie proszą zazwyczaj do zbytku ogrzewają swe mieszkania, tak lubią upojenie się, choćby ciepłem.

* * *

Podczas zimy, Jan koniecznie pragnie co wieczór chodzić do karczmy, aby miał się z kim nagaǳać, nasłuchać różnych nowinek, wypić kufel piwa i wreszcie grać w karty. Cała twarz jego ożywia się niewymownie, gdy mówi o tych przyjemnościach. Wchodzi się do ciepłej, zadymionej sali, pełnej gości wiodących wrzaskliwe rozmowy; gdy nowy przybysz wchodzi, ogromny pies leżący pod stołem podnosi się i głośno wita go szczeniem, grający w karty głośno ciskają je na stół, napoje przekąski i potrawy wydają się doskonałe, tak że biesiadnicy zapominają że mają dom i własną kuchnię, — a wszystko to bardzo dobrze i koniecznie trzeba tam bywać czasami, aby potem z większą przyjemnością wracać do domu i lepiej oceniać cichy jego spokój. Oto zdania jakie Jan wygłasza z wielkiem ożywieniem, ja bronię jego twierdzeń, a nie dość na tem nauczyłam się grać w karty dla jego przyjemności.

* * *

Wielka dziś radość w domu; przyjaciółka Walpurga przyjechała niespodzianie z mężem swoim, leśniczym w lasach rządowych. Oż to za szczerą uciechą! jak serdeczne pogadanki! jak miłe minionych chwil wspomnienia.

Jan zaprosił zaraz leśniczego, aby był chrzestnym ojcem jego spodziewanego dziecięcia. Ja musiałam towarzyszyć Walpurdze, która chciała cały dom pokazać przyjaciółce.

Może być, że w wyższych klasach społeczeństwa, miłość jest gwałtowniejszą, silniejszą, głębszą, przybiera więcej cech znamionujących namiętność, — ale lud przewyższa je wiernością i stałością — praca natchnęła go temi cnotami.

* * *

Dziś byłam z Janem w lesie; przechodziliśmy około zamarzniętej kaskady, a kryształowe wód jej kolumny błyszczały od słońca. Zachwycający to widok!

Jan pokazał mi dwa drzewa które każe ścinać, abym miała dobre drzewo do moich snycerskich wyrobów. Mamże opracować wszystko drzewo w nich zawarte?

Ta przechadzka pod górę bardzo mnie utrudziła, ale teraz jakoś mi lepiej.

* * *

Wieczera na stole, przychoǳi co prędzej! wołają na mnie często o zmroku. Jan lubi abyśmy wszystkie siedziały przy stole, powiada że czas mu miło schodzi. Kazał przebić drzwi abym miała bliżej chodzić z mego pokoju do sali jadalnej.

* * *

Lubię szarą godzinę, lubię tę ciemność powstającą z dnia i z niem się jednoczącą; chcąc żyć w zupełności, należy rozważać prawa przyrody.

Światło i ogień są udziałem człowieka; — sam tylko człowiek nie przestaje żyć w nocy.

Uczony Schnabelsdorf powiedział kiedyś: Sposób w jaki ludzie użytkują z nocy, wykazuje jasno stopień ich cywilizacji.

Na dworze teraz właśnie zasiedli do stołu; żartują, śmieją się, rozpowiadają różne nowiny i anegdoty. — Gdybym też tak nagle pojawiła się w pośród nich...

O Shakespear'ze! ty ukazywałeś widma na bankietach królewskich... Ale nie lękajcie się! nie przyjdę zakłócać waszych uciech.

Wieczorem udadzą się zapewne do teatru... Ach! wszakże to dziś? tak, a ja zupełnie zapomniałam o tem... tak, dziś rocznica mych urodzin. Rok temu byłam na balu ubrana jak Pani Jeziora, i on powiedział mi cicho, w ogrodzie zimowym, zdaje mi się że jeszcze głos jego słyszę: „Imo! ty jedna powinnaś wiedzieć, że nie bez myśli dzień ten wybrałem...“

Ach! ta noc! ta noc!...

Czy myślą tam o mnie?

Egipcjanie, na uroczystościach swoich, zostawiali zawsze miejsca dla zmarłych... piękny to obyczaj!... Nie mogę już pisać, — zapalę lampkę, — trzeba pracować.

* * *

W ostatni wtorek mieliśmy szczególniejszego gościa.

W sąsiedniej wiosce mieszka głuchoniemy, trudniący się wyrzynaniem na drzewie, robota jego jest ordynarna, nie umie pisać ani czytać, nie posiada nawet elementarnych wiadomości religijnych, ale za to nie zapomina o żadnych świętach ani uroczystościach, a szczególnie o tłustym Wtorku. W takie dni, po nabożeństwie, staje sobie przed kościołem, przygląda się wieśniakom, zwraca się do tego co mu się najwięcej podoba z powierzchności, idzie za nim do mieszkania i bez najmniejszej ceremonji zasiada przy jego stole. Gospodarz nie sprzeciwia się temu, i milcząco zezwala mu przez dni trzy jeść i pić w swoim domu.

W taki sposób przyszedł i do nas.

Czasami płacze, nikt nie wie czemu, rozmawiają się z nim na migi, ale nie zawsze umieją się porozumieć. — Wuj Piotr ntrzymuje iż wylewa łzy ze zmartwienia że więcej jeść nie może. Chciałam z nim rozmawiać, ale nie mogliśmy się zrozumieć.

* * *

Sroda popielcowa. Dziś w całym domu cicho i spokojnie, wszyscy zatopieni w rozmyśleniu, każdy rozpamiętuje uroczyste słowa powiedziane mu przy posypaniu głowy popiołem: Chrześcijanie! pamiętaj żeś z prochu powstał i w proch się obrócisz.

Ach! i ja użyłam szalenie wesołego karnawału, po którym nastał mi długi popielec.

I kiedyż już przyjmiesz mnie na twoje łono, o ziemio! wspólna nasza matko, kiedyż mnie unieścisz?

* * *

Chcę przenieść spokojnie następstwa moich postępów, wspierając się tylko na samej sobie, bez żadnej duchowej ani materialnej pomocy.

* * *

Piękny zwyczaj mają tu wieśniacy, iż kiedy wieczorem po zadzwonieniu na *Anioł Pański*, odmówią już *Pozdrowienie anielskie*, wtedy wzajemnie mówią sobie „dobry wieczór.“ Z stępują z nieba na ziemię i witają się z rodziną.

* * *

Jak tylko jesteśmy same, Walpurga nie chce mówić mi „ty“ i zawsze nazywa mnie hrabianką.

Dziwna zmienność! Kiedyś, gdy byliśmy sami, ja mówiłam mu „ty“ a w obec świata...

Niestety! myśl ta wyłoniła się ze wszystkiego! Okropna by to rzecz była gdybym miała stać się chorobliwie czułą, — może nią już jestem?

Osoba zbyt czuła jest bezbroną w obec zbrojnych, bez maski w obec przebranych. Chcę i muszę być silną...

* * *

Walpurga baczna na mnie, w tych czasach szczególnie, zwracała uwagę; dziś przyniosła mi kilka doniczek kwiatów, rozmarynu, pelargonji, oleandry i ustawiła je na oknie.

Jan przyniósł je z ogrodu jakiegoś, jak tu powszechnie mówią „znakomitego doktora“, mieszkającego w dolinie, o kilka mil od nas. Ogrodnik jego upoważniony jest do sprzedaży kwiatów.

Przynosząc mi je Walpurga rzekła: Zawsze miałas kwiaty w swoim pokoju, te przetrwają zimę, oczy twoje miliej spoczną na nich.

Nie umiem wyrazić jak wielką przyjemność zrobiły mi te kwiaty.

* * *

Często, gdy deszcz ulewny pada, wybiegam w pole jak więzień wyrrywający się z więzienia. Cóż mnie tu zatrzymuje? co mnie skłania do tych wybieczek?...

* * *

Doznaję wszystkich cierpień wygnania — żyję w jakimś strasznym odrętwieniu — i po cóż mam czekać aż śmierć zlituje się nademną!

* * *

Ileż to razy, myśl moja podobna jedźcowi bujającemu na skrzydlatym rumaku, z czarodziejską szybkością przebiega próżnię mej duszy, wołając: Nie wiesz nie co się tam dzieje na świecie, jeśli nawet otaczający cię coś zasłyszeli, to starannie ukrywają to przed tobą, — a ty o nic zapytać nie śmiesz.

A jeśli też królowa umarła... i może ten co cię kochał i któregoś tak całą duszą ukochała, jest dziś podwójnie samotny i opuszczony... jeśli myśli o tobie i ubolewa nad tem że cię utracił... Daj tylko znak życia, a na jedno skinienie twoje, przyleci natychmiast, i wprowadzi cię do pałacu i zostaniesz

* * *

królową, i wszystko będzie zapomniane i przebaczone, bo staniesz się opiekunką ludu, który teraz tak dobrze poznał, w pośród którego żyłaś i cierpiełaś.

* * *

I tak to niekiedy sieć zaczarowanych myśli otacza mnie i wikła w swe sidła; słucham i zdaje mi się że wyraźnie mnie dochodzą przyzywające mnie głosy i trąby... Ach! czemuż nikt nie zaexorcyzuje tej hordy szatanów tak strasznie szarpiących, tak rozpaczliwie miotających mą duszę.

* * *

O! ty żyjesz, królowo! czcigodna przyjaciółko którą obraziłam tak srodze... tak, ty żyjesz!... nie chcę się pytać, nie chcę się dowiedzieć żeś umarła.

* * *

Ty żyjesz i żyć będziesz! a ja pragnęłabym tylko abyś się dowiedziała jak szczerze żałuję, jaki żal i boleść dręczy moją duszę.

* * *

Nieustannie przychodzi mi na myśl owa tragedia grecka o przybitym do łańcucha Prometeuszu, był to najpierwszy na świecie pustelnik, a jego postanowienie rodzajem ślubów zakonnych, których węzły uwidniały się na zewnątrz. My dziś dźwigamy inne więzy, śluby i reguły umysłowe i duchowe.

* * *

Jedynem dziś mojem życzeniem, jest chęć usłyszenia dobrej muzyki wykonanej przez wielką orkiestrę szczęściem słyszę ją niekiedy we śnie. Ciekawam jakby też filozofowie to wytłomaczyli, iż we śnie dusza moja gra na wszystkich instrumentach i sama wykonywa wielkie orkiestrowe ustępy, których nigdy nie umiałam na pamięć....

Nigdy dotąd jeszcze Walpurga nie napomknęła ani słówka, iż mnie ostrzegała kiedyś.. jak to pięknie z jej strony!

Stary Joachim wyrzekł dziś do mnie kilka słów, malujących dobitnie gorycz ciężkiej jego doli:

— Stare woły i krowy zarzynają, stare konie i stare psy zabijają wystrzałem z pistoletu, starych zaś ludzi żywią dopóki nie zamrą — oto cała różnica.

1. marca. Walpurga ma syna; Jan jest uszczęśliwiony nad wszelki wyraz, nigdy nie nazywa go inaczej jak „młody dziedzic“. Dziś odbył się chrzest; — żal mi że nie była w kościele, ale nie mogłam zdobyć się na to.

Od dziś zaprzestałam nosić wiejskie suknie; były one niezbędne do zapewnienia mi ucieczki, obecnie są już niewłaściwe. Chodzę teraz w prostej perkalkowej sukience, jak wszystkie tutejsze kobiety trudniące się zajęciami gospodarskimi; nie porzuciłam jednak zielonego kapelusza, bo mi wybornie twarz osłania.

Dziś także pierwszy raz wyszłam na wieś; domki stoją odosobnione, po całym porozrucane polu; — patrzącemu z góry wydają się jakby rozpierzchną trzoda.

Ileż to razy, myśl moja podobna jedźcowi bujającemu na skrzydlatym rumaku, z czarodziejską szybkością przebiega próżnię mej duszy, wołając: Nie wiesz nie co się tam dzieje na świecie, jeśli nawet otaczający cię coś zasłyszeli, to starannie ukrywają to przed tobą, — a ty o nic zapytać nie śmiesz.

A jeśli też królowa umarła... i może ten co cię kochał i któregoś tak całą duszą ukochała, jest dziś podwójnie samotny i opuszczony... jeśli myśli o tobie i ubolewa nad tem że cię utracił... Daj tylko znak życia, a na jedno skinienie twoje, przyleci natychmiast, i wprowadzi cię do pałacu i zostaniesz

królową, i wszystko będzie zapomniane i przebaczone, bo staniesz się opiekunką ludu, który teraz tak dobrze poznał, w pośród którego żyłaś i cierpiełaś.

I tak to niekiedy sieć zaczarowanych myśli otacza mnie i wikła w swe sidła; słucham i zdaje mi się że wyraźnie mnie dochodzą przyzywające mnie głosy i trąby... Ach! czemuż nikt nie zaexorcyzuje tej hordy szatanów tak strasznie szarpiących, tak rozpaczliwie miotających mą duszę.

O! ty żyjesz, królowo! czcigodna przyjaciółko którą obraziłam tak srodze... tak, ty żyjesz!... nie chcę się pytać, nie chcę się dowiedzieć żeś umarła.

Ty żyjesz i żyć będziesz! a ja pragnęłabym tylko abyś się dowiedziała jak szczerze żałuję, jaki żal i boleść dręczy moją duszę.

Nieustannie przychodzi mi na myśl owa tragedia grecka o przybitym do łańcucha Prometeuszu, był to najpierwszy na świecie pustelnik, a jego postanowienie rodzajem ślubów zakonnych, których węzły uwidniały się na zewnątrz. My dziś dźwigamy inne więzy, śluby i reguły umysłowe i duchowe.

Jedynem dziś mojem życzeniem, jest chęć usłyszenia dobrej muzyki wykonanej przez wielką orkiestrę szczęściem słyszę ją niekiedy we śnie. Ciekawam jakby też filozofowie to wytłomaczyli, iż we śnie dusza moja gra na wszystkich instrumentach i sama wykonywa wielkie orkiestrowe ustępy, których nigdy nie umiałam na pamięć....

Nigdy dotąd jeszcze Walpurga nie napomknęła ani słówka, iż mnie ostrzegała kiedyś.. jak to pięknie z jej strony!

Stary Joachim wyrzekł dziś do mnie kilka słów, malujących dobitnie gorycz ciężkiej jego doli:

— Stare woły i krowy zarzynają, stare konie i stare psy zabijają wystrzałem z pistoletu, starych zaś ludzi żywią dopóki nie zamrą — oto cała różnica.

1. marca. Walpurga ma syna; Jan jest uszczęśliwiony nad wszelki wyraz, nigdy nie nazywa go inaczej jak „młody dziedzic“. Dziś odbył się chrzest; — żal mi że nie była w kościele, ale nie mogłam zdobyć się na to.

Od dziś zaprzestałam nosić wiejskie suknie; były one niezbędne do zapewnienia mi ucieczki, obecnie są już niewłaściwe. Chodzę teraz w prostej perkalkowej sukience, jak wszystkie tutejsze kobiety trudniące się zajęciami gospodarskimi; nie porzuciłam jednak zielonego kapelusza, bo mi wybornie twarz osłania.

Dziś także pierwszy raz wyszłam na wieś; domki stoją odosobnione, po całym porozrucane polu; — patrzącemu z góry wydają się jakby rozpierzchną trzoda.

Ileż to razy, myśl moja podobna jedźcowi bujającemu na skrzydlatym rumaku, z czarodziejską szybkością przebiega próżnię mej duszy, wołając: Nie wiesz nie co się tam dzieje na świecie, jeśli nawet otaczający cię coś zasłyszeli, to starannie ukrywają to przed tobą, — a ty o nic zapytać nie śmiesz.

A jeśli też królowa umarła... i może ten co cię kochał i któregoś tak całą duszą ukochała, jest dziś podwójnie samotny i opuszczony... jeśli myśli o tobie i ubolewa nad tem że cię utracił... Daj tylko znak życia, a na jedno skinienie twoje, przyleci natychmiast, i wprowadzi cię do pałacu i zostaniesz

królową, i wszystko będzie zapomniane i przebaczone, bo staniesz się opiekunką ludu, który teraz tak dobrze poznał, w pośród którego żyłaś i cierpiełaś.

I tak to niekiedy sieć zaczarowanych myśli otacza mnie i wikła w swe sidła; słucham i zdaje mi się że wyraźnie mnie dochodzą przyzywające mnie głosy i trąby... Ach! czemuż nikt nie zaexorcyzuje tej hordy szatanów tak strasznie szarpiących, tak rozpaczliwie miotających mą duszę.

O! ty żyjesz, królowo! czcigodna przyjaciółko którą obraziłam tak srodze... tak, ty żyjesz!... nie chcę się pytać, nie chcę się dowiedzieć żeś umarła.

Ty żyjesz i żyć będziesz! a ja pragnęłabym tylko abyś się dowiedziała jak szczerze żałuję, jaki żal i boleść dręczy moją duszę.

Nieustannie przychodzi mi na myśl owa tragedia grecka o przybitym do łańcucha Prometeuszu, był to najpierwszy na świecie pustelnik, a jego postanowienie rodzajem ślubów zakonnych, których węzły uwidniały się na zewnątrz. My dziś dźwigamy inne więzy, śluby i reguły umysłowe i duchowe.

Jedynem dziś mojem życzeniem, jest chęć usłyszenia dobrej muzyki wykonanej przez wielką orkiestrę szczęściem słyszę ją niekiedy we śnie. Ciekawam jakby też filozofowie to wytłomaczyli, iż we śnie dusza moja gra na wszystkich instrumentach i sama wykonywa wielkie orkiestrowe ustępy, których nigdy nie umiałam na pamięć....

Nigdy dotąd jeszcze Walpurga nie napomknęła ani słówka, iż mnie ostrzegała kiedyś.. jak to pięknie z jej strony!

24 maja. Dziś mieliśmy gwałtowną burzę wiosenną połączoną z grzmotami i błyskami. Drzewa zginały się i wykręcały, zdało się że wszystkie się połamią.

— Zły to znak, rzekł wuj Piotr wprawdzie dobre to na żyta, ale na wiosnę burza taka powoduje kilkodziennie zimno, a w lecie znowu zwiększa upały.

To orzeczenie dałoby się zastosować do wielkiej, namiętnej miłości.

Teraz znowu słońce błyszczy w całym blasku. Wyszłam na przechadzkę. W lesie, ziemia zasłana była tysiącami połamanych gałązek i mnóstwem nieżywych ptaków; biedne! zawczasie odważyły się wylecieć z gniazdek, deszcz zmoczył ich skrzydła i przeszkodził odwrotowi, burza poniszczyła gniazda i musiały umierać z głodu.

Przyroda ma w sobie coś przerażającego; — długo pracuje i sili się nad wytworzeniem jakiejś istoty, a potem nagle ginąć jej dozwala.

Niedziela. W dniu tym najwięcej cierpię, najmocniej czuję smutne położenie moje. Niedziela ma właściwe sobie zwyczaje; każdy wdzwiewa w nią swe niedzielne stroje, świat cały w inną jakąś przyodziewa się postać. To też w dniu tym najwięcej czuję że nie w swoim żyję świecie.

Cieszyłam się myślą nadchodzącej wiosny, a stary Joachim rzekł mi: Nie ma się z czego cieszyć za kilka tygodni znowu krótsze dni nastaną.

Gdyby ludzie, równie jak drzewa, z każdą odmładzali się wiosną, toby coraz nowem pokrywali się kwieciami, bo człowiek zmienia się z każdą wiosną.

Widziałam raz dwóch orłów szybujących w powietrzu. Szczęśliwe życie takięj pary! latały razem; wysoko, wysoko unosiły się w przestrzeniach, i wznośli się coraz wyżej, aż nareszcie znikły w atmosferze.

Orzeł przewyższa wszystkich, żaden wróg dorównać mu nie zdoła. Sam tylko człowiek spojrzenia swoje w śmiertelny zamienia pocisk, którego wpływ sięga wszędzie gdzie tylko spojrzenia to dosięgnąć zdoła.

I on także niegdyś pysznił się że zabił orła! Cemu? bo było to dowodem jego siły. I ową to oznaką swego zwycięstwa przyozdobił mój kapelusz, — niestety! niestety!

Ach! czemuż nieszczeście moje dręczy mnie nieustannie, choć on tak odemnie daleko? Nie chcę o nim myśleć; cóż więc jest we mnie takiego co mi je nieustannie przywodzi na pamięć?

My kobiety nigdy nie jesteśmy same, jeśli słuchamy praw natury.

Stara legenda mówi: Mężczyzna został pierwój stworzony i był sam na świecie, — kobieta nigdy nie była samą. Toż samo powtarza się nieustannie w dziejach pokoleń, i ja pojmuję teraz znaczenie zagadkowej tajemnicy.

Nie dość przestać źle robić, trzeba nadto postępować dobrze. Ja chciałabym dokonać jakiegoś wielkiego dzieła, — gdzie go znajdę? W sobie samém.

Podczas słotnych dni. Nie ma słońca! a ja bez niego żyć nie mogę, i dla tego wędnę jak przekwitły kwiatek. — Piękny miesiąc maj powinienby mi go przecie sprowadzić.

O U B I O R A C H.

Nowości zagraniczne.

Petit courier des dames. Na wizyty i przechadzki noszą powszechnie kostiumy sięgające tylko do ziemi. Widzieliśmy w sławnej pracowni Worsta wiele takich kostiumów, złożonych ze spódniczki nagarniowanej wolantami i z baskiny rozpiętej szeroko na rogówce.

Do wyjścia na ulicę, kostium bywa zwykle ciemny nie wydatny, w jednym kolorze; za to kostiumy wizytowe przybierane są często materją odmiennego koloru. Z pomiędzy strojnych kostiumów Worsta, podobał nam się bardzo popielaty jedwabny, koloru myszatego. Spódniczka miała pięć falbanek błękitnych jedwabnych; z tych dwie odwracały się w górę po bokach, tworząc jakby fartuszek. Od boków spadała na tył rozwieszista baskina, ogarniowana błękitną falbanką, podpięta na takież rozety. Pełerynka kwadratowa obłożona materją błękitną, służyła za okrywkę. Rękawy zwyczajne miały szeroki mankiet błękitny z falbany odwiniętej w górę do łokcia.

Drugi kostium jedwabny koloru maron, miał spódniczkę naszytą plisami powyżej kolan; jedna plisa była atlasowa, druga taka jak suknia z atlasową wypustką. Stanik gładki spięty na atlasowe guziki, przybrany był również plisami, — od stanu spadała podwójna baskina, nagarniowana koronką czarną, podpięta ruszami po bokach. Za okrywkę służyła mantyla w nowym rodzaju, złożona z karczka takiego jak suknia, objętego w koło szerokim wolantem koronkowym.

Suknie długie z ciężkiej materji czy to przerabianej czy gładkiej, mogą się obejść bez baskiny. Zakończają je tylko u dołu wolant marszczony szeroki, przeszło na pół łokcia. Do sukien czarnych mantynowych, dają zwykle wolant rurkowany, (à tuyaux d'orgues). Rękawy zdobią zwykle u ręki, odwróconym wolantem.

Rozmaitości.

Cygarniczki z węgla parowego. Ponieważ wiele osób bez cygara i fajki obejść się nie może, więc wiadomość o wymienionych cygarniczkach nie będzie im obojętną. Cygarniczki te, chociaż nie są tak trwałe jak z morskiej pianki, mają to do siebie, że wszelkie szkodliwe i gorzkie części wydzielające się z cygara pochłaniają, tak że nawet nieosobliwe cygaro ma smak przyjemny. Z tego węgla wyrabiają się także fajki i filtry różnego zastosowania. Cygarniczki i fajki, gdy się zanieczyszczą, wypalić można nad płomieniem gazowym lub spirytusowym, ale krótko, żeby się i sam węgiel nie spalił. Jedyną wadą tego wyrobu jest, że trzeba się z nim delikatnie obchodzić, bo gdy padnie na bruk, a nawet posadzkę, to się zaraz potłucze.

Takich cygarniczek i fajek po mniejszych i większych cenach, stosownie do wielkości i oprawy, dostać można w sklepie p. Rembalskiego na Czystej Ulicy.

Przechowanie zielonej fasoli na zimę.

Należy zebrać strączki fasoli o małych ziarnkach, zdjąć z ich brzegów twardą skórkę, pokrajać w podług na cienkie kawałki, moczyć w wodzie przez noc całą, a rano wsypać do gorącej wody, w której się trzy minuty parzyć powinny. Odcedziwszy potem wodę, pokrajane strączki rozpościerają się na płótnie lub papierze dla wysuszenia, i przez zimę przechowują w suchym miejscu.

OGŁOSZENIA.

MAGAZYN

S. DZIECHCIŃSKIEGO

przy Ulicy Miodowej N. 486.

Przygotował na obecną porę znaczny wybór okryć ciepłych i kaftaników z najmodniejszych materiałów. Podejmuje się także obstalunków rozmaitych okryć i paletotów, tak dla dorosłych osób jak i dla dzieci, podług wzorów zamieszczonych w Tygodniku Mód, które jak najakuratniej i po cenach przystępnych wykonywa. (7,300).

W Redakcji Tygodnika Mód i we wszystkich księgarniach, są do nabycia następujące powieści: *Macocha* oryginalnie napisana przez Paulinę Wilkońską. Cena kop: 60:

Mrowin i Trock przez Paulinę Wilkońską, Cena rs. 1.

Pan de Camors powieść Feuillet'a, tłumaczona przez Joannę Belejowską. Cena rs. 1.

Pamiętnik młodej mężatki przekład Joanny Belejowskiej. Cena rs. 1.

Marja Teresa w Węgrzech powieść historyczna, przełożona przez Sewerynę Pruszkową. Cena kop 75.

Sto bajek przez Faustyna Świdorskiego. Cena kop. 20.

Książka do nabożeństwa dla włościan, przez Jana Kantego Gregorowicza. Cena kop. 37 i pół.

Gawędy księdza proboszcza, przez Jana Kantego Gregorowicza. Cena kop. 40.

Obrazki historyczne w czterech tomikach, przez Jana Kantego Gregorowicza. Cena kop. 80.

Cztery książeczki obrazkowe, przez J. K. Gregorowicza. Cena kop. 80.

Biorącym książek za rs. 5, odsyła się kosztem Redakcji.

Korespondencja.

Pani Pelagji Zabo: w Wasilówce. Za przesłane książki, należy się Redakcji kop 30.

Pani Helenie Przy: w Kamieńcu. Początek powieści przesłaliśmy. Suknia biała alpagowa, może być ufarbowana na kolor brązowy lub czarny.

Pani Michalinie D. Kapeluszk okragły pokryty kolorową materją, odpowiedni na jesienną porę, kosztuje rs. 4.

Pani Por. w Ławrykach. Obstalowaniem sukien możemy się zająć.

Pani L. w Hodorówce. Sprawunki wysłane zostały.

Pani M. Pień: Kapelusik pikowy wyprawiony był pocztą 17 Lipca b. r. podług przysłanego adresu.

Pani Julji Boc: Literatura Scheera kosztuje 3 rs. Literatura Łukaszevicza 1 rs. Metoda Ollendorfa zł. 10 i zł. 14. Cena książek wyrażona jest bez opłaty pocztowej. P. C. Kra: Robótki szydełkowe kosztują rs. 1.

Sprostowanie. W ostatnim numerze, w opisie ryciny paryskiej, popełniono myłkę: kapeluszek bowiem nie jest *batystowy* ale *bastowy*.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

* * *

Jeśli zawsze mam zależeć od pogody, jeśli każda chmura ma zasępieć mą duszę, każda ulewa pograżać mnie w rozpacz, — jeśli zawsze mam słońca żebrać o miłosierdzie, o jeden jego promień, — to lepiej mi było rzucić się na dno jeziora, aby rybak płynął swoją łódką po nad moimi zwłokami, opowiadając przychodniom historję młodej damy dworskiej, co znalazła śmierć w zwierciadlanych przezroczach wód jeziora...

Raz już pożegnałam słońce, nie chcę więc podlegać jego wpływom!

* * *

12 czerwca. — Cudny poranek po nocnej burzy! wszystko tak uroczym połyskuje blaskiem. Białe żrebie biega po łące na przeciw okien, a zna mnie tak dobrze. Jeśli patrzę na niego, zaraz stanie i długo mi się przygląda, a potem podskoczy i zaczyna biegać jak szalone. Dałam mu imię *Wodan*; gdy tak zawołam przylatuje zaraz.

Odrysowałam to żrebie, a teraz wyrzynam go z pięknego kawałka brzeziny; spodziewam się że mi się uda. Choć z drugiej strony tak trudno wyrzeźbić coś z drzewa; jest to materiał tak ciężki do obrobienia, a ja tak łatwo się niecierpliwię! Trzeba się starać panować nad sobą.

* * *

Wczoraj rok minął od chwili kiedy chciałam rzucić się w fale jeziora; wspomnienie całej téj przeszłości tak mnie rozstroiło, że słowa napisać nie mogłam, Dziś już jestem spokojna.

Zdaje mi się że już nie wiele pisać będę.

Teraz przeszedłam już wszystkie pory mego nowego życia, — znam je dokładnie i wiem że nic nowego, mi nieprzewidzianego spotkać mnie nie może. Pisarze i faryzeuszowie, przyprowadzili do Jezusa Chrystusa kobietę która miała zostać ukamionowaną, a on im rzekł: „Niechaj ten z was który jest bez grzechu, pierwszy rzuci w nią kamieniem.“

Tak mówi Pismo Święte — a ja pytam jak żyła potem ta kobieta ocalona, ulaskawiona, a może skazana na życie? czy powróciła do swój domowej zagrody? czego doznawała od świata? co się działo w jej sercu? I nigdzie nie ma na to odpowiedzi — znajduję ją w własnym życiu.

* * *

Przez cały przeciąg mego tu odosobnienia, nie miałam w ręku ani jednego drukowanego wiersza, — nie mam i nie chcę mieć żadnych książek. I to nie dla tego aby zadać sobie umartwienie, ale dla tego abym umiała sama wystarczyć sobie.

* * *

...Trudno to jednak dźwigać zawsze samę ciężar własnych swoich myśli, lub choćby tylko tę myśl jedną żeśmy zupełnie zerwali ze światem.

Teraz widzę że klasztor ma swoją dobrą stronę. Nie podobna prawie odśpiewać samęj chorali o wzniosłych i przeciągłych tonach, kiedy przeciwnie śpiewając razem, głosy podtrzymują się wzajemnie, i nie tak znać choćby ktoś fałszywą wziął nutę. Ja jestem tu jednocześnie kapłanem, kościołem, organem, bractwem, spowiednikiem i penitentem, a dusza moja ugina się pod nadmiarem tego ciężaru, i takbym pragnęła niekiedy aby ktoś pomógł mi dźwignąć to brzemie. O! weź mnie, bądź mi wsparciem i pomocą; woła rozpaczliwie biedna dusza moja — żadnej odpowiedzi, w około głuche milczenie. Wtedy z poddaniem pochylałam czoło, zbieram sił ostatki i dźwigam znowu mój ciężar, chwytam kij pielgrzymi, błąkam się samotna, i zwolna odzyskuje moc nad sobą.

(d. c. n.)

T R E Ś Ć.

N. 1. Ubranie dla dziewczynki od 5 do 8 lat. — N. 2. Ubranie dziewczynki od 2 do 3 lat. — N. 3. Ubranie chłopczyka od 7 do 10 lat. — N. 4. Ubranie dziewczynki od 4 do 10 lat. — Nr. 5. Ubranie dziewczynki od 6 do 10 lat. — N. 6. Toaleta wizytowa dla młodych panienek. — N. 7. Toaleta wizytowa dla starszych kobiet. — N. 8. Kostium spacerowy dla młodej kobiety. — N. 9. Spacerowa toaleta dla młodej pani. — N. 10. Strojni czepeczek. — N. 11 i 12. Paletocik i pelerynka koronkowa. — N. 13. Wycięta bluzka z szarfą. — N. 14. Bluzka z materiału w pasy. — N. 15. Wysoki staniczek z wyłożeniem w pasy. — N. 16. Sukienka dla małego dziecka na rękach. — N. 17. Szlak krzyżową robotą do serwety sukienną, portjery i t. d.

N. 1 do 5. Ubrania dla dzieci.

N. 1. Ubranie dziewczynki od 5 do 8 lat. Sukienka z lila alpaki w białe paski, z szerokimi szelkami i paskiem zapinanym na rozetę. Małe петельki z czarnej wąskiej aksamitki, wychodzące z pod szerszej aksamitki, stanowią przystrojenie szelek.

Bluzka z białego batystu z przodu ułożona w zakładki z haftowanym kołnierzykiem i rękawkami. Czarny jedwabny fartuszek objęty wolantem dookoła, któremu za nagiówek służy rulonik z atlasu czarnego. Kapelusik marynarski objęty aksamitką czarną różną z zielonością o metalowym blasku.

N. 2. Ubranie dziewczynki od 2 do 3 lat. Sukienka z jasno niebieskiego „mousseline de laine”, objęta pliskami z jedwabnej materji niebieskiego koloru, z szarfą z tegoż materiału. Muslinowa bluzka zapelnia kwadratowo wycięty stanik. Pończoszki krótkie; buciki niebieskie. Włosy gładko w górę szcześnie przewiązują się aksamitką.

N. 3. Ubranie chłopczyka od 7 do 10 lat. Pantalony i marynarka z korciku koloru brązowego, z wywiniętymi kłapami i świeżącymi guzikami. Można tę samą marynarkę objąć paskiem w razie upodobania.

N. 4. Ubranie dziewczynki od 4 do 10 lat. Suknia z batystu lub muslinu różowego w białe paski ze staniczkiem pod szyję i wąskimi rękawami. Wierzchnia sukienka z muslinu białego w rzucik różowy, tunika tej sukni podpięta kokardami z różowej wstążki, z której także zrobione są kokardy na ramionach. Włosy splecione w warkocz wolno puszczone. Okrągły kapelusik słomkowy opasany girlandą z polnych róż. Buciki wysokie węgierskie ze skóry złoto-brązowej.

N. 5. Ubranie dziewczynki od 6 do 10 lat. Suknia ze staniczkiem pod szyję z długimi rękawami i okrągłą pelerynką z popielatego barwę, ubrana falbankami barzowemi z pliską koloru cérise. Pelerynka podpięta z tyłu rozetą z tejże samej cérise materji, końce spadające z pod niej są popielate z falbanką cérise. Kapelusik popielaty z ranwersem, ubrany patkami i kokardami cérise. Buciki z popielatą skórą ozdobione sznurkami i kwastami cérise.

Ubrania jesienne.

Z magazynu pani Bataillon w Paryżu, ulica Chabannais N. 14.

Polegając na ciągle trwającej modzie noszenia kostiumów, podajemy dziś cztery z których każdy zdawał nam się ładnym i gustownym.

N. 6. Toaleta wizytowa dla młodych panienek.

Suknia (robe ras-terre) z gładkim wysokim staniczkiem z materiału wełnianego, w czarne i fioletowe pasy, u dołu garniowana szeroką falbaną z czarnej materji; nad falbaną rusza z fioletowej materji. Na wierzchu druga suknia „Watteau”. Suknia ta bez rękawów z czworograniastym wykrojem, z przodu opięta paskiem, na plecach ułożona w szerokie fałdy, uszyta jest z materji mienionej czarnej z fioletowym. Wycięcie ozdobione falbanką i taśmą fioletową. Na bokach tunika podpięta kokardami fioletowymi. Kapelusik okrągły z kwiatami i wstążką.

N. 7. Ubranie wizytowe dla starszych kobiet.

Toaleta ta wykonana bywa z materiału ciepłego wełnianego, repsu, sukna, lub też z materji ciężkiej matowej. Suknia której wzór podajemy była z brązowego repsu z szerokim warkoczem atlasowym nad falbaną i trzema takimiż warkoczami zdobiacami do paletoty. Kokardy ułożone w wachlarz, były z repsu podszyte i objęte atlasem. Kapelusik z czarnego tiulu z pasowemi aksamitnymi liśćmi.

N. 8. Kostium spacerowy dla młodej kobiety.

Suknia z podwójną spódniczką i gładkim wysokim stanikiem, z fioletowego fularu w czarne muszki; dolna spódniczka ozdobiona szeroką falbaną z czarnej materji, wierzchnia zaś oraz stanik ubrany węższą falbanką. Paletocik bez rękawów z pelerynką w kształcie kardynalskiej z czarnej materji, obszyty frendzlą i fioletowymi atlasowemi rulonikami.

Czarny koronkowy kapelusik ozdobiony bratkami.

N. 9. Spacerowa toaleta dla młodej pani.

Całe ubranie zrobione jest z popielatą alpaki z kolorowemi jedwabnymi wolantami i kokardami. Dolna spódniczka zakończona szeroką falbaną, wierzchnia suknia z przodu tworząca fartuszek, ozdobiona węższą falbaną i kokardami. Na wysokim staniczku chusteczka odznaczona rulonikami pomiędzy którymi są umieszczone kokardki. Rękawy Marie-Antoinette z szeroką falbaną u ręki, kapelusik chiński, ubrany kwiatami i wstążką.

N. 10. Strojni czepeczek.

Na wierzchu wysoko uczesanych włosów spoczywa kokardka z kolorowych aksamitek i koronki — uszyta podług wzoru, który będzie umieszczony w następnym numerze pod N. 23. Niepotrzebujemy opisywać sposobu zrobienia kokardki — bo na okrągłym kawałku petynety, bardzo łatwo podług wzoru umieścić pukielki aksamitne przepięte koronką. Długa aksamitka obszyta z jednej strony węższą z drugiej szerszą koroneczką, spięta jest pod brodą inną mniejszą kokardką. Dodamy tu tylko, że każdy kawałek aksamitki mający tworzyć kokardkę z końcem, powinien być 10 cent. długi.

N. 11 — 12. Paletocik i pelerynka koronkowa na koncert lub do teatru.

Koronkowa pelerynka którą widzimy na wzorze N. 11 jest zupełnie równa, 38 cent: szeroka a 230 długa; może być z tiulu w muszki lub koronki. Pelerynka ta a raczej szalik, lekko zarzucony na ramiona, skrzyżowany na piersiach, spięty jest z tyłu kokardą. Zgrabny kapturek przypina się osobno. Zamiast kapturka można spiąć szalik kokardą albo też ułożyć kapturek z szalika, tak jak spinamy u beduiny i ten sposób zalecamy szczególnie otyłym kobietom. Dodać tu jednak trzeba, że w takim razie szalik powinien być znacznie szerszy.

Paletot koronkowy N. 12 ozdobiony jest wszywką i koronką, przepięty paskiem i kokardą zastosowaną do koloru sukni. Krój paletoty jest bardzo zwyczajny.

N. 13. Wycięta bluzka z szarfą.

Bluzka ta uszyta z białego muslinu w zakładki 1 cent. szerokie, może być podług upodobania pod szyję lub wycięta okrągło. Rękawki krótkie w bufki, przepięte rulonikami atlasowemi. U góry bluzka ozdobiona wszywką koronkową, podwleczoną kolorowym atlasem obszyta koroneczkami. Pasek atlasowy, kokardy i szarfy szerokie obszyte koroneczką i ozdobione wszywką tak jak bluzka. Dół sukni skrojonej jak *robe ronde*, ozdobiony 3 rzędami



N. 1. Ubranie dziewczynki od 5 do 8 lat.

N. 2. Ubranie dziewczynki od 2 do 3 lat.

N. 3. Ubranie chłopczyka od 7 do 10 lat.

N. 4. Ubranie dziewczynki od 4 do 10 lat.

N. 5. Ubranie dziewczynki od 6 do 10 lat.



N. 6. Toaleta wizytowa dla młodych panienek.

zakładek oddzielanych koronkową wszywką, podwleczoną atlasem.

N. 14. Bluzka z materiału w pasy.

Wzór przedstawia bluzkę z fularu w pasy z haftowanymi ozdobami. Z przodu szeroki obręb zapięty na guziki powlekane fularem lub też z perłowej masy.

Cale garnirowanie do koła szyi tworzące jakby krawaciek, oraz ozdoby na rękawach i ramionach, złożone jest z kawałków haftowanej gładkiej materji, naszytych na wstążce.

Wzór który podamy w następnym numerze Tygodnika pod N. 25. przedstawi lepiej i dokładniej sposób wykonania tychże ozdób.

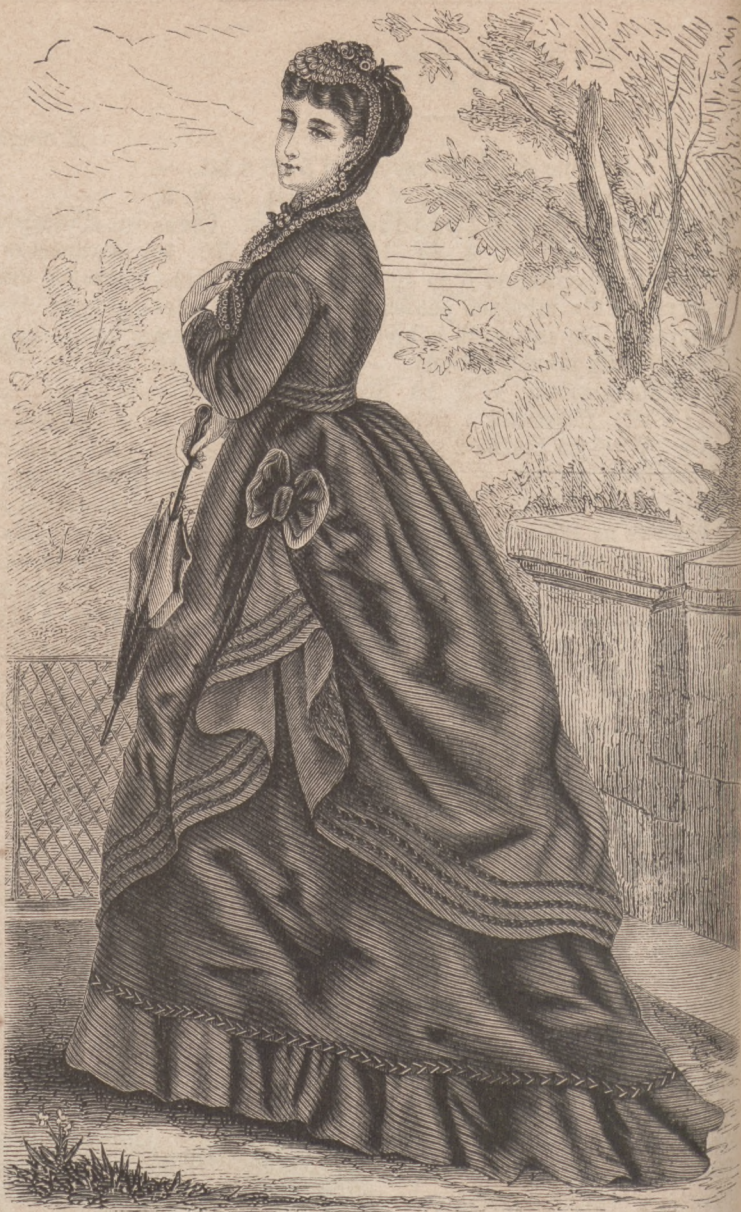
N. 15. Wysoki staniczek z wyłożeniem w pasy.

Spódniczka z materiału wełnianego w brązowe i białe paski. Krótka tunika z przodu otwarta i wysoki staniczek uszyte są z brązowej serży. Pasek, szarfy oraz wyłogi i ozdoby rękawów są z materiału w pasy. Ładna byłaby taka sukienka z popielatego kretonu ze spódniczką w białe i czarne pasy.

N. 16. Suknia dla dziecka na rękach.

Z magazynu Pani Desrez w Paryżu na placu Halevy N. 2.

Rycina przedstawia wierzchnią sukienkę z białego kaszmiru, przybraną białymi klapkami, ranwersem na staniku, rozetami i szarfą atlasową. Dolna sukieneczka zrobiona jest z półbatystu garnirowana z przodu karbowaną falbanką i rozetami z gipiury lub frywolitów; dalszy obwód batystowej sukienki u dołu obszyty szeroką falbaną, widoczny jest z boków przez podniesioną sukienkę kaszmirową. Krój na dodatek w przyszłym Numerze Tygodnika Mód od N. 6 do 11 przedstawia sukienkę z ranwersem, można jednak o tyle przypuścić materiału, żeby sukienka ta była bez wyłożenia z naszym tylko ranwersem na wierzchu. Staniczek w połączeniu ze spódniczką kaszmirową, oznaczony na formie od góry, uzupełnia się w krajanu na długość sto-



N. 7. Toaleta wizytowa dla starszych kobiet.



N. 8. Kostium spacerowy dla młodej kobiety.



N. 9. Spacerowa toaleta dla młodej panienki.

sownie do woli. Staniczek otrzymuje mocną podszewkę sięgającą 4 cen: za stan, a cała spódniczka sztywny muslin. Do uzupełnienia ubrania służy kapelusz kastorowy, przystrojony piórem i aksamitką.

N. 17. Szlak krzyżową robotą do serwety sukiennej, portjery i. t. d.

Szlak ten wykonany na grubiej kanwie, berlińską włóczką i dubeltowymi krzyżykami, ma każdy zab 44 centy: długi 36 centy: szeroki i służyć może do



N. 11. Pelerynka koronkowa.

zdoby poduszek na oknach, portjer, serwet sukiennych i. t. p. Zrobiony na cieńszej kanwie angielską włóczką użyty bywa do etażerek.



N. 14. Bluzka z fularu.



N. 10. Strojny czepeczek.



N. 13. Wycięta bluzka z szarfą.

Korrespondencja z Paryża.

Pomimo upałów jakie nas trapią bez przerwy, magazyny Paryżkie w przewidywaniu rychłej zmiany powietrza, ukazały wreszcie rozmaite jesienne nowości. Z wełnianych tkanin na suknie, bardzo modna gruba popelina z jedwabiu i wełny, w poprzeczne prążki w dwóch odcieniach, jak również serża mieniona, zwana *sablé* gdyż wygląda jak przysypana piaskiem. Gładki tybet ogólnie przyjęty na kostiumy, co się da łatwo wytłumaczyć, gdyż dzisiejsze baskiny i angażanty, upięte w festony, potrzebują materiału któryby tworzył zręczne i miękkie dra-

perje a nie w tym względzie nie zastąpi tybetu. Z tej samej przyczyny, używany będzie tartan szkocki w kratę różnokolorowe; sztuki owego tartanu, ubarwiają dziś wystawę wszystkich magazynów paryżskich.

Na spódniczki do gładkich sukien, uważaliśmy wyrób wełniany w paski szerokie na palec, — paski te idą w poprzecznym kierunku, i tem głównie różnią się od zeszlórocznych tkanin.

Do najmodniejszych kolorów należy popielaty, w odcieniu myszłym (*gris souris*) dziko-orzechowy *vigogne*, wiśniowy, skabiozowy i ciemno amarantowy,



N. 12. Paletot koronkowy.

ten ostatni bardzo świetnie wygląda, lecz na ulicę za- nadto jest jaskrawy.

Suknie powłóczyste przyjęte wyłącznie na wielkie prośzone obiady, lub wieczorne zebrania. Kostium do ziemi służy nie tylko na ulicę, lecz i na zwyczaj-



N. 15. Wysoki staniczek z wyłożeniem w pasy.

na wizytę, a nawet na obiad w kółku rodzinnem. Oprócz tego noszą też suknie średniej długości, powłóczyście zaledwie na ćwierć łokcia, które podpinają się na pętelki i guziki przyszyte z wierzchu spódniczki. Wszystkie w ogólności suknie, tak krótkie jak i powłóczyście, przybierają szerokim wolantem, lub też dwoma albo trzema falbankami. Do sukien ciężkich jedwabnych używany wolant koronkowy. Baskiny do kostiumów zowią rozmaicie: *engageante*, *camargo* i. t. p. wszystkie jednak podobne do siebie, podpięte po bokach i w tyle wielką rozetą, ogarniowane wolantem do kółła. Stanik do nich marszczony, pokryty pelerynką skrzyżowaną na piersiach, opadającą w tyle poniżej stanu, w środku podpiętą na kokardę, od której spadają szerokie szarfy. Forma tych pelerynek bardzo urozmaicona.

Kostiumy czarne jedwabne zawsze wielkie mają powodzenie. Uważaliśmy jeden złożony ze spódniczki, i stanika z baskiną (*Camargo*). U dołu były trzy rurkowane falbanki, szerokie na trzy palce; nad każdą z nich szła wązka pliska objęta z obu stron atlasowym rulonikiem.

Stanik gładki pod szyję miał u dołu szeroką baskinę, ogarniowaną takimiż trzema falbankami, podpiętą w festony tak z tyłu jak i po bokach. Rękawy zwyczajne, przybrane były odpowiednio, na ramieniu i u ręki. Za okrywkę służyła rotonda aksamitna ogarniowana koronką. Kostium jesienny, z wełnianej tkaniny koloru ciemno-amarantowego, miał spódniczkę z trzema takimi plisami; z obu stron plis, szła wypustka jedwabna. Baskina podcięta gładko po bokach, naszyta była plisami.

Za okrywkę służyła pelerynka, zakładana z przodu na piersiach, urządzona tak iż się zdawało jakby szły cztery pelerynki jedna nad drugą. Szarfy przybrane plisami, spadały na



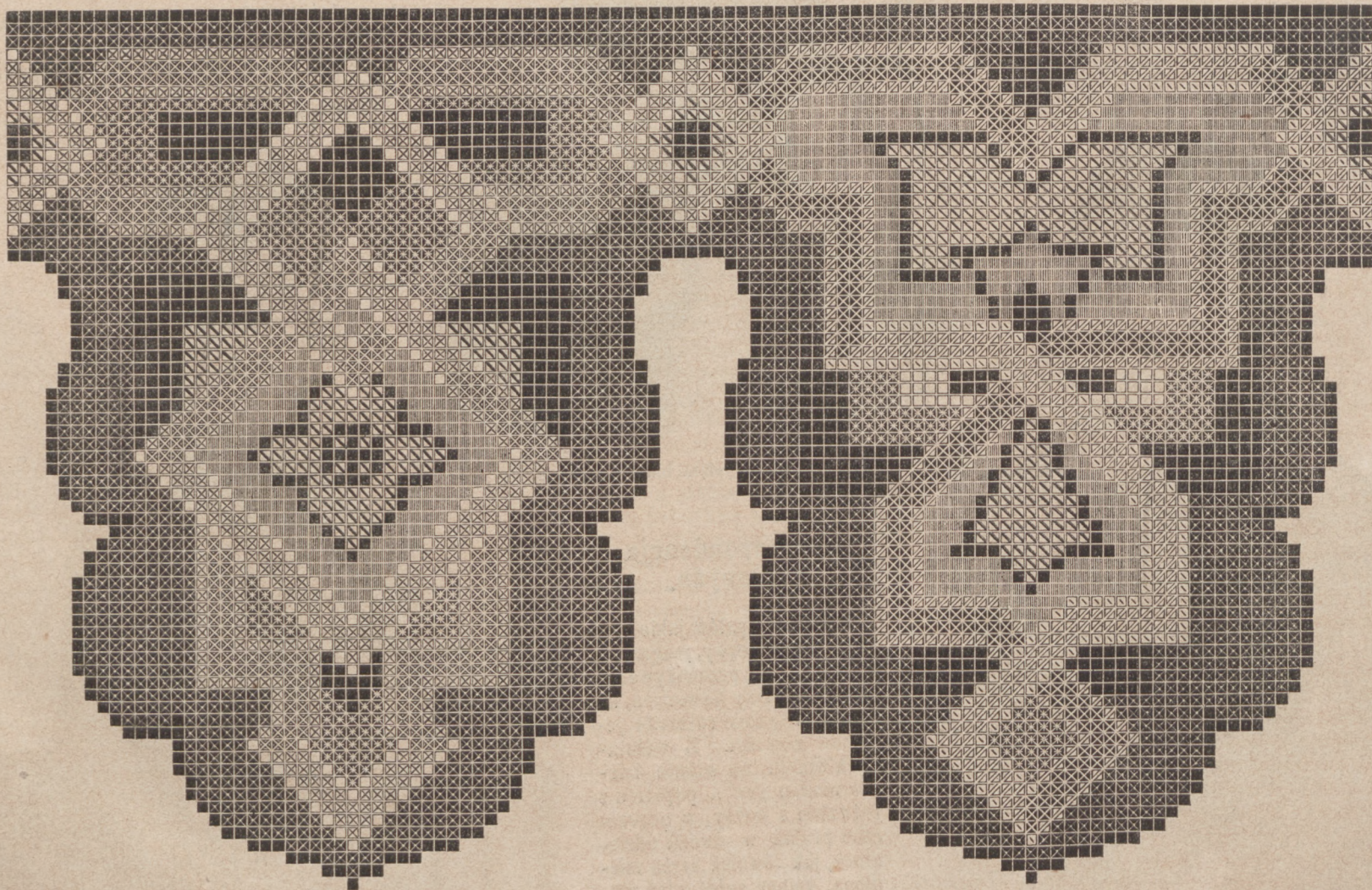
N. 16. Sukienka dla małego dziecka noszącego się na rękach.

tył sukni. Rękawy miały odpowiednie mankiety i epolet.

Z pomiędzy sukien powłóczystych zwróciła naszą uwagę jedwabna w kolorze dziko orzechowym. U dołu szedł wolant szeroki na półtóry ćwierci, marszczony, wycięty u dołu w wilcze zęby długie na trzy palce — zęby te objęte były rulonikiem atlasowym tegoż koloru. Od stanika otwartego do połowy na piersiach, spadała podwójna baskina, tworząca z przodu fartuszek, z tyłu zaś mocno namarszczona, zakończona również w wilcze zęby. Rękawy ścięte jak zwykle miały szeroki mankiety z odwróconej falbany, szerokiej na ćwierć łokcia, z takimiż zębami. Mankiety te należały dziś do najmodniejszych; szarfa zakończona w zęby spadała na tył sukni.

Do ubrania na teatr lub na wieczór, widzieliśmy ładną suknię białą muszlinową. Spódniczka krajana w kliny, przedzielana wstawką gipiurową, zaokrąglona w festony u dołu, sięgała z przodu do kolan, z tyłu zaś znacznie niżej. Z pod tych festonów spadał szeroki wolant zapraszowany w zakładki, zakończony u dołu obrębem. Stanik pod szyję cały układany w zakładki, równie jak i rękawy, przepasany był szeroką szarfą błękitną. Końce szarfy naszyte białym wypukłym haftem, który można było odejmować do prania, obszyte były u dołu walansienką na cztery palce. Wązka walansienka zdobiła w górze stanik i rękawy. Staniki otwarte do połowy, zapinane z boku, należały do najmodniejszych. Pod takie staniki robią koszulki muszlinowe, przybrane wstawkami, z żabocikiem z walansienki i fryzką nagarniowaną w górę.

Z ciepłych okrywek jesiennych uważaliśmy paletot aksamitny długi do kolan — zakończony w wilcze zęby — przepasany szarfą aksamitną, rękawy zwyczajne miały mankiety fałdowane, odwrócone w górę szerokie na ćwierć łokcia. S. z Ż. D.



Czarny.



Ciemno
wiśniowy.



Szafirowy.



Brązowy
hawanna.



Jasno
brązowy.



Pasowy.



Jasno
zielony.



Ciemno
zielony.



Jasno
popielaty.



Żółty.



Biały.

N. 17. Szlak krzyżową robotą do serwety sukienniej, portjery i t. d.